



**Kościół  
prawica  
demony**

# Kościół, prawica, demony

Paweł Milcarek

## Kolejne przegrane powstanie

Polskie życie publiczne – ze szczególnym uwzględnieniem polityki – staje się krainą, w której na porządku dziennym jest używanie „pustego pieniądza”. Idee, wartości, programy – wszystko to może mieć jeszcze w jakiejś części pokrycie w złocie prawdy, wierności czy najgłębszego przekonania i woli realizowania, lecz przyjmuje się, że w tych dziedzinach zdolność emisji pustej waluty ograniczona jest tylko ryzykiem wpadki, za to nagradzana... no właśnie – czym? Zapewne grubszą sumką jakiegoś pieniądza bez pokrycia.

Chodzi tu jednak nie tyle o zwykłą dewaluację pojęć i gestów używanych na forum publicznym – a w związku z tym o ubolewanie nad tym „upadkiem obyczajów” – lecz o spostrzeżenie dalszego dziwnego zjawiska: im bardziej puste są „pieniądze” polskiego życia publicznego, tym bardziej to one same stają się przedmiotem zainteresowania – a nie rzeczy, dla których nabycia ta „waluta” jest potrzebna.

W zwykłym, normalnym życiu chcemy coś osiągać – a realność naszego życia, jak to kiedyś dobrze rozpoznali Grecy, jest proporcjonalna do naszego sprawstwa: wiem, że „wszystko to jest naprawdę”, między innymi dlatego, że z powodu moich działań przychodzą do mnie ich skutki. Każdy z nich informuje o odpowiedzialności, a następnie pobudza wyobraźnię.

To działa nadal w życiu prywatnym. Coraz rzadziej działa w naszym życiu publicznym. Tutaj głęboko ludzkie



poczucie uczestnictwa zostaje zastąpione przez jego podróbkę: poczucie odgrywania roli – roli będącej udziałem w grze. Udział w grze zastępuje życie.

### Dom niewoli

Gdy brak pokrycia „walorów” znajdujących się w obiegu w życiu publicznym staje się zbyt dojmujący, niektórzy Polacy reagują wycofaniem się w sferę prywatności, poza „grę”, a do „prawdziwego życia”, być może okrojonego do jakiejś postaci epikureizmu, singlowskiego lub rodzinnego. Obok tych, którzy rzeczywiście po prostu zamkną się w prywatności, są też tacy, którzy sprywatyzują swoją obecność w sferze publicznej: nie będą mogli przecież dopuścić do tego, aby przepływał fałszywy „pieniądz”, skoro i tak nie posłuży Rzeczypospolitej, nie przyniósł jakichś bardziej wymiernych korzyści... przynajmniej im samym, jako krajowej śmietance przedsiębiorczości. Jednak poza tym znajdują się jeszcze inni Polacy, którzy mimo wszystko pozostaną w sferze publicznej, i to ze względu na dobro wspólne. Naturalnie, niektórzy z nich nie pogodzą się z patologią niszczącą sferę publiczną i polityczność – jednak takich jest zwykle mniej niż myślimy w chwilach optymizmu. Choroba nieprawdy zaraża i unieszkodliwia także wielu ludzi o szlachetnych intencjach i, zdawałoby się, nieugiętej woli: wielu z nich uzna, że skoro życie publiczne stało się grą, należy grać, także posługując się pieniędzmi bez pokrycia. Z jakiegoś powodu uznają, że i tak o wiele lepiej jest gromadzić całe ich walizki niż zderzyć się ze smutnym faktem, że są bezwartościowe.

Między ludźmi przyjmującymi ze stoicką determinacją rolę nieugiętych pogromców „nieznośnej lekkości bytu” – lekceważenia państwa i obowiązków politycznych – powstaje więc swoista niepisana umowa, że wartością są już same „żetony” życia publicznego i możliwość gry. Co więcej, sam fakt gry wywyższa tych ludzi ponad podłą egzystencję Rychów i Zbychów oraz stawia na pozycji mentorów względem „tych, którym na Polsce nie zależy”.

Stanowiska bez realnej władzy, władza posiadana w poczuciu bezsilności, poglądy bez szansy realizacji, programy ogłaszane bez woli ich wdrażania, przeprosiny pozbawione gotowości do rekompensaty, wiara niekonieczna do życia wiecznego... – to jakby arkusze banknotów o coraz większym nominale, gromadzone

z fascynacji ilością zer. Jednym z nich jest „władza dla władzy”, oderwana od pierwotnych celów i uniezależniona od obiecanych efektów – a więc oddzielona od programów.

W tak ukształtowanej – patologicznej – konkretyzacji życia publicznego nie ma w zasadzie święta większego niż „dzień wypłaty” (czasem mylony z dniem zwycięstwa...). W wersji najbliższej jakiejś realności jest nim np. dzień wygranych wyborów – a więc „zdobycie władzy” – ale z reguły „dzień wypłaty” nie zawiera aż tyle realnej zmiany w świecie zewnętrznym. Z reguły polega natomiast na dostarczeniu ludziom pewnego kwantum przeżyć, które powinny z powodzeniem zastąpić świat zewnętrzny. Dlatego „dniem wypłaty” jest najczęściej konferencja prasowa – zwłaszcza jeśli dostarcza przede wszystkim emocji, a nie informacji.

Od dobrych kilku lat polskie życie publiczne, polska polityka zatrzymała się i wyjałowiła do takiego stanu. Ogłoszenie „polityki miłości” w 2007 roku nie było pierwszym sygnałem tego kryzysu, ale opisało go dość dobrze, o ile przez miłość rozumieć tu właśnie uczucie, a nie poważniejszą relację.

Opisywana przez nas post-polityka ogranicza się do zarządzania emocjami – a w każdym razie, nawet jeśli w swym rdzeniu bywa ograniczonym pragmatyzmem lub wręcz oligarchiczną prywatyzacją sfery publicznej, do gry emocji sprowadza otwartą debatę publiczną.

Ponieważ post-polityczne rządy nad Polską spoczywają od lat w rękach Platformy, odpowiedzialność za tę patologię odnosimy przede wszystkim do tej partii. Jednak pełny opis sytuacji musi uwzględnić fakt, że w patologię tego układu wpisują się obie wielkie partie – obie od dawna uprawiają politykę namiętności.

Ten, kto – jak PO – ma władzę, może tworzyć sobie klientów i wypłacać im rentę materialną – najlepiej nie pozbywając się równocześnie możliwości wypłacania wszystkim chętnym jakiejś renty emocjonalnej. To dość proste, żeby nie powiedzieć: prostackie. Jednak ten, kto – jak PiS – władzy nie posiada, musi ograniczyć transakcje materialne do minimum, natomiast zwykle do maksimum stara się wykorzystać możliwości związane z rentą emocjonalną – niekoniecznie jednak rozdaje ten „pusty pieniądz” wszystkim, którzy się pojawiają. Wręcz przeciwnie, zabezpieczeniem tej waluty jest wrażenie jej niedostępności.



W sumie jest to zupełnie logiczne: partia pozbawiona możliwości wypłacania renty „rozkosznej” musi stać się wirtuozem w wypłacaniu renty „gniewliwej”, a więc takiej, która nigdy nie daje odpoczynku w zadowoleniu, lecz jest nade wszystko koncesją na udział w „słusznym gniewie”, w ramach jakiejś „ostatniej nadziei (dla Polski)”.

Emocjonalny składnik polityki nie jest oczywiście niczym złym. Jeśli tylko elementarz demokratycznej polityki porzuci swój własny uroczyستی mit o zawsze racjonalnej woli powszechnej, zawsze musi znaleźć miejsce dla emocji. To jasne, że atrakcyjność jakiejś polityki – jej zdolność pozyskiwania zwolenników – nie wynika jedynie lub przede wszystkim z tych jej walorów, które docenia się z pozycji dalekosiężnej racjonalności. Nie wystarczy „mieć rację”, aby przyciągać akceptację i poparcie, dające podstawy skuteczności w systemie demokratycznym. Wręcz przeciwnie, ta niezbędna „śniegowa kula” popularności zaczyna się toczyć i przyłączać do siebie kolejne płaty opinii publicznej dopiero wtedy, gdy dany projekt polityczny staje się atrakcyjny z jednej strony dla rachunku interesów, z drugiej – dla emocji: wtedy gdy zostaje zidentyfikowany jako „niezbędny” w świetle dążeń zbiorowej fizjologii (bezpieczeństwo, potrzeby materialne...) oraz jako „przyjemny” dla podniebienia zbiorowych marzeń (niezależnie czy są one bardziej nakierowane na jakiś „ostateczny” błogostan, czy na jakieś „zmiżdżenie” wroga).

Jeśli jednak wyciąga się z tego wniosek, że w polityce realnej decyduje wyłącznie umiejętność „sprzedawania” szans i „zarażania” emocjami – najlepiej w jednej transakcji obudowanej mistrzowską narracją – to jest to zbyt krótkowzroczny pragmatyzm. Ogranicza się on do samej sfery „zdobywania władzy” (czyli przejmowania instytucji państwa lub ogarniania swym wpływem jakiejś „blokującej” grupy społecznej). Prawdziwy realizm podpowie, że te zabiegi nie wyczerpują cech *skuteczności* politycznej. Można powiedzieć, że skuteczność tę tworzy przede wszystkim proporcja między zamierzonym celem i uzyskiwanym efektem, przy czym ani cel, ani efekt nie mogą być usytuowane w – dla nich pośredniej – przestrzeni środków-instrumentów, takich jak zdobywana władza czy wpływ społeczny.

Zabójcze działanie tego fałszywego pragmatyzmu oglądaliśmy wtedy, gdy zablokował on długo oczekiwany proces „rewolucji

moralnej” i rekonstrukcji państwa w roku 2005. Dalekosiężnym skutkiem konfliktu, który udało się wówczas rozpaścić między PO i PiSem, było nie uniemożliwienie koalicji tych partii, lecz stopniowe przekształcenie polskiej polityki w pole gier emocjonalnych, dewastujących Całość społeczną wraz z jej autorytetami i rzeczywistą debatą.

### Niedoszły reset

Być może trudno to będzie nam sobie przypomnieć po wszystkich zawieruchach, ale gdy nazajutrz po katastrofie smoleńskiej pytaliśmy siebie wzajemnie o to, co wniesie do polskiej polityki ten bezprecedensowy wstrząs, odpowiadano często, że jest to szansa na przywrócenie polityce powagi<sup>1</sup>. Tłumy ludzi zebranych na Krakowskim Przedmieściu dla zamanifestowania wspólnoty – obraz o efekcie wzmocnionym przez relacje Telewizji Polskiej – uprawdopodobniały to pragnienie.

Groza katastrofy, która przecięła bieg życia ziemskiego kilkudziesięciu ludzi z elity politycznej kraju, zdawała się przecinać nic niejednego sporu, w związku z czym mówiono o możliwości *resetu*, zwłaszcza po prawej stronie sceny politycznej. Odłożywszy na bok „magiczną” funkcję tego powiedzenia – czyli narzucanie „czaru” powszechnej zgody na polityków pozostających niekiedy w zasadniczych sporach – *reset* taki mógł oznaczać powrót do współpracy politycznej przez środowiska polityczne, które w 2005 wspólnie stworzyły sukces Prawa i Sprawiedliwości. Było to realne, ale pod ścisłym warunkiem, że politycznie i moralnie dysponowany do takiej rekonstrukcji PiS Kaczyńskiego nie poprzestanie na wyzwaniu swych dysydentów do powrotu, tak jakby możliwe było ponowne wejście do tej samej rzeki. Konieczne było coś znacznie większego: uskrzydłona głębszą konwersją moralną propozycja nowej współpracy politycznej bez uzależniania jej od fałszywych scen „powrotu syna marnotrawnego” w objęcia PiSu.

<sup>1</sup> Bardzo trafnie i racjonalnie opisywał to Ludwik Dorn: „Za komuny Ernest Bryll napisał utwór: *Za czym kolejka ta stoi.* Otóż ja widząc tłumy na Krakowskim Przedmieściu zadawałem sobie pytanie: za czym kolejka ta stoi? Kto pamięta kolejki w PRL, wie, że stoi się, bo musi – aby zaspokoić egzystencjalne potrzeby.

Kolejka na Krakowskim Przedmieściu stała za odzyskaniem powagi istnienia Polaków jako bytów politycznych, za wyrwaniem się z tej niezdolnej lekkości bytu. Do tej pory poważna była sfera życia codziennego – śluby, chrzty, śmierć bliskich, kupno domu, długi – to były sprawy poważne, a polityka, zwłaszcza ostatnie dwa lata, była domeną błazeństwa i wygłupu. Zobaczymy, co będzie się działo w czasie kampanii. Będzie to pierwsze masowe wydarzenie, w którym te zjawiska będą się operacjonalizowały” (*Kolejka za powagą*, „Tygodnik Powszechny”, nr 19, 9.05.2010).

Trudno zmierzyć osobiste cierpienie Jarosława Kaczyńskiego związane ze śmiercią brata oraz wielu jego najbliższych współpracowników – to przekracza wyobraźnię. Nie zmienia to faktu, że tak ciężko doświadczony polityk zdecydował się, w związku ze swym startem w wyborach prezydenckich, na skrajnie trudną i czysto pijarową zmianę swego wizerunku, idącą całkowicie wbrew emocjom żałobnika, będącą gwałtem na jego ludzkich uczuciach – natomiast nie widział potrzeby „przekroczenia progu nadziei” w uczciwym wyjściu poza dotychczasowe, makiaweliczne zarządzanie sytuacją na prawicy. Dotknięty do żywego, zamiast prawdziwego nowego otwarcia, wybrał jeszcze bardziej pokrętną grę.

Tak naprawdę nie było więc żadnego *resetu*, choć była nań koniunktura. Wszystko odbyło się nie według logiki moralnego oczyszczenia dla większego dobra – lecz według prostych zasad zadysponowania nastrojami i zasobami przez partię, która potraktowała wstrząs społeczny jako swoją nową energię, w sposób oczywisty należną jej w emocjonalnym i kwantytatywnym rachunku strat. Zamiast rzeczywistej „rewolucji moralnej” i nowej fali republikanizmu odbyła się próba „zmonopolizowania mitu” przez PiS<sup>2</sup>.

Ludwik Dorn przewidywał jeszcze w maju – a więc już po przepychance w sprawie pochówku wawelskiego – że PiSowi ta próba monopolizacji Smoleńska się nie uda<sup>3</sup>. Jego przewidywania ziściły się tylko po części.

to spór uzasadniony. Ja np. będę się upierał, że w czasie tej prezydentury były momenty wybitne, a nawet wielkie, ale ktoś może mieć inne zdanie. Poza dyskusją zaś będzie jedno: Lech Kaczyński został i będzie długo najważniejszym państwowym Polakiem. Jego śmierć przywraca substancjalność państwu. Cała jego polityka historyczna była nie tyle krytyką Okrągłego Stołu, którego był uczestnikiem, ile dezawuacją koncepcji, że niepodległa Polska wzięła się z tegoż Okrągłego Stołu. Ona wzięła się z wysiłków, cierpień i ofiary krwi wcześniejszych pokoleń i można powiedzieć, że ta śmierć Lecha Kaczyńskiego wplotła się w tę koncepcję. [...] Z mitami się nie dyskutuje, mitami się myśli, czy raczej: myśli się wewnątrz mitów. Katastrofa w Smoleńsku z dwudziestoletnim opóźnieniem rozstrzygnęła spór o to, skąd wzięła się niepodległa Polska. [...] Pan Kaczyński niewątpliwie chce zmonopolizować na rzecz swojego obozu tę narodową ofiarę założycielską. Jestem temu przeciwny, niemniej jest to jakaś koncepcja polityczna” (tamże).

<sup>3</sup> „Mitów nie da się jednak zmonopolizować i pan Kaczyński błądzi, jeśli myśli, że mu się to uda. [...] Na zmonopolizowanie mitu nie pozwolą PiS inne partie i będą miały po temu narzędzia. Pod Smoleńskiem zginął «król i reprezentanci wszystkich (politycznych) stanów». Hekatomba miała charakter narodowy i państwowy. Po stracie cierpiała Rzeczpospolita, a nie jedna partia” (tamże).

<sup>2</sup> Warto przeczytać się w objaśnienie tego mechanizmu, podane przez Ludwika Dorna, który z racji swej pozycji – człowieka będącego równocześnie ojcem-założycielem PiSu i *outsiderem* tej partii – potrafił oddać równocześnie atmosferę i zasadę: „Pojawia się koncepcja PiS, który zmonopolizuje coś, co nazywam odsuniętą o 20 lat ofiarą za Rzeczpospolitą, bo taki sens został zbiorowo nadany tragedii w Smoleńsku. Można się spierać, jakim prezydentem był Lech Kaczyński, i będzie

<sup>4</sup> Mariusz Bulski w filmie *Solidarni 2010*: „Ludzie, którzy całe swoje życie poświęcili, żeby walczyć o prawdę [...] w ciągu jednej sekundy zginęli i tak prosto. Zaczynam się bać, że to nie był przypadek. Dotychczasowe doświadczenia wskazują, że wszystko było zaplanowane. KGB to są poważni ludzie, oni nie puszczaają farby”.

<sup>5</sup> Dla przypomnienia racji i atmosfery tej inicjatywy – wypowiedź jednego z jej sprzymierzeńców:

„Abp Życiński ujawnił, że w miniony piątek rozmawiał z żoną Andrzeja Przewoźnika, jednego z ofiar tragedii, która właśnie powróciła z Moskwy po identyfikacji zwłok męża. – Mówiła z najwyższym szacunkiem o kulturze Rosjan, którzy podczas rozpoznawania zwłok okazywali tak wielką wrażliwość, subtelność, solidarność,

że była zarazem zaskoczona i wzruszona tymi przejawami wczucia się w polską duszę i w cierpienie osób starających się rozpoznać swoich najbliższych. Jestem przekonany, że to rosyjskie świadectwo wrażliwości zjednoczy nas i będzie stanowić przełom we wzajemnych kontaktach, gdzie dziedzictwo stalinowskie odejdzie do definitywnie zamkniętej przeszłości, a my, Polacy, będziemy starali się odpowiedzieć tym samym szacunkiem na oznaki otwarcia i przyjaźni ze strony naszych rosyjskich braci – stwierdził metropolita. – [...] Tak jak my wracamy pamięcią do naszych bliskich, którzy zginęli w dramatycznych okolicznościach, tak wiele rodzin rosyjskich myśli o swoich ojcach, którzy zapłacili cenę życia idąc na Berlin” (Marcin Bieleś, *Arcybiskup Józef Życiński: Odwdzięczmy się Rosjanom*, „Gazeta Wyborcza – Lublin”, 18.04.2010).

Kto miał złoty róg?

Rzecz jasna Platforma od pierwszych chwil po Katastrofie podjęła wysiłki, aby mieć udział w jej „ogólnonarodowym znaczeniu”, i to z pozycji premiera, aktualnie najwyższego reprezentanta Rzeczypospolitej: znany nam z relacji polityków PiSu żenujący wyścig samochodu Tuska z zatrzymywanym autokarem Kaczyńskiego miał właśnie taki sens. Jednak od początku PO wchodziła do owej „strefy zero” poruszonych uczuć narodowych swoją własną furtką, której symbolem był znany uścisk z Putinem – a więc furtką, z której Jarosław Kaczyński z kolei skorzystać nie chciał nawet raz.

Zanim wydarzenie wyda swój własny mit, odpowiadający zbiorowym uczuciom i pragnieniom, korzysta czasem z przyrodziewku innego, pokrewnego mitu: tak Smoleńsk 2010 korzystał z Katynia 1940. W związku z tym zaistniała jednak charakterystyczna różnica akcentów: podczas gdy w jednej narracji Katastrofa szybko stawała się „drugim Katyniem”, w drugiej – była raczej jakąś ofiarną ceną za powiedzenie prawdy o Katyniu światu, w tym zwłaszcza – Rosjanom. Przez jakiś czas obie narracje mogły współistnieć w jednym bloku, lecz szybko zaczęły się rozchodzić: pierwsza w stronę przeświadczenia o rosyjskim zamachu (podobnie tajemniczym i wciąż związanym z Katyniem, jak katastrofa gibraltarska), druga – w stronę wdzięczności Rosjanom za telewizyjną emisję *Katynia Wajdy*, przyjmowaną z nadzieją na pojednanie w prawdzie.

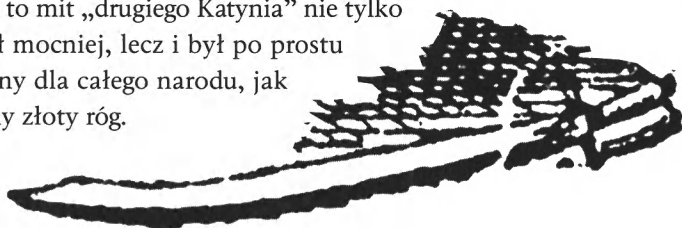
Miesiąc po Katastrofie te dwa nurty funkcjonowały już jako dwie rywalizujące opowieści: zrealizowany w TVP film *Solidarni 2010* – będący przede wszystkim obrazem poruszenia republikańskiego Polaków – zdał sprawę z „teorii spisku”, istniejącej już „wśród ludzi”<sup>4</sup>; natomiast inicjowana w „salonie” akcja zapalania 9 maja lampek na grobach żołnierzy sowieckich dość wiernie odpowiadała marzeniom elit o „pojednaniu z narodem rosyjskim”<sup>5</sup>.

Mit cudownego pojednania polsko-rosyjskiego był kreowany przez PO i „Gazetę Wyborczą”, choć w jeszcze większym stopniu przez należące do ITI: TVN i „Tygodnik Powszechny” – z nadzieją na wchłonięcie i przetworzenie sensu całego wydarzenia smoleńskiego. Po odrzuceniu przez Kaczyńskiego propozycji wspólnego z Tuskiem autoryzowania takiej wersji było już wiadomo, że to wchłonięcie i przetworzenie nie odbędzie się łagodnie i po dobroci: powstający przy pomocy zdjęć z Putinem mit pojednania i zgody mógł przetrwać i rosnąć jedynie jako zabójca mitu „drugiego Katynia”, bądź – przynajmniej – jako klarowna alternatywa dla niego, wyprodukowana dla „bardziej otwartych, lepiej wykształconych, z dużych miast”.

Ze słabo tłumionej nienawiści do śp. Lecha Kaczyńskiego i z bardziej racjonalnej obawy przed wielkim potencjałem nie-swojej wersji mitu smoleńskiego, Platforma wraz z „salonowym” zapleczem zdecydowała się na odpalenie brutalnego ataku na legendę Prezydenta Kaczyńskiego, korzystając z każdej niejasności czy wątpliwości dotyczącej wyboru Wawelu jako miejsca pochówku śp. Państwa Kaczyńskich.

W ten sposób zamiast rywalizować o możliwą całość mitu smoleńskiego, dwie partie wygenerowały dwa różne mity. Nie były to jednak mity równej wagi. Mit „drugiego Katynia” równocześnie był mocniej osadzony w czasie historycznym i mocniej łączył się z osobistym doświadczeniem historycznym Polaków – podczas gdy mit „cudownego pojednania” nawet w swych najszlachetniejszych wersjach z daleka przypominał sentymentalne chęćstwo. Jednak prawdziwa różnica polegała na tym, że to mit spisku czy „drugiego Katynia” wchłoniął w siebie najpoważniejszy moralny przekaz Katastrofy: że źródłem niepodległości Polski jest krew, cierpienia i wysiłki pokoleń Polaków. Prawda, którą mit „cudownego pojednania” próbował bezskutecznie zastąpić wspólnym zdjęciem Tuska i Putina – nową wersją zdjęcia Okrągłego Stołu.

Z tej racji to mit „drugiego Katynia” nie tylko przemawiał mocniej, lecz i był po prostu przeznaczony dla całego narodu, jak przyniesiony złoty róg.





<sup>6</sup> „Cisną się pytania: dlaczego? Czasem chcielibyśmy stawiać te pytania ludziom i kiedyś przyjdzie na to czas. Ale czas żałoby nie jest na te pytania właściwy. Czasem człowiek chciałby te pytania postawić samemu Panu Bogu, ale są pytania, których nawet Panu Bogu nie powinno się stawiać. Niepojęte są nasze losy, te wszystkie sytuacje, które przeżywamy –

mówił na zakończenie mszy żałobnej na warszawskim Kole abp Nycz” (PAP, 11.04.2010).

<sup>7</sup> Abp Nycz w pierwszych godzinach po katastrofie, w Katedrze Warszawskiej, 10.04.2010: „Przywiodła nas tu wiara w to, że godzina Eucharystii, godzina Chrystusa, jest tą godziną, w której można przyjąć i próbować pojąć to wszystko, co się dziś rano wydarzyło pod Smoleńskiem. [...] Przychodzi nam w tym roku przeżywać drugi Wielki Piątek.

Życie nie chce się podporządkować kalendarzowi liturgicznemu. Życie w radosnym okresie oktawy wielkanocnej zaprowadziło nas dzisiaj pod krzyż” (KAL, 10.04.2010).

<sup>8</sup> „Nagła śmierć, to wstrząs psychiczny dla żywych, ale nie o nas żywych dziś tu się zamartwiamy, pomyślmy o umarłych. Może ta nagła śmierć zawiera głębszą Bożą myśl, którą każdy z nas powinien odczytywać z osobistej perspektywy?

[...] A zatem przez cierpienie, przez ofiarę, następuje konieczne oczyszczenie przed wejściem do nowego życia i radości wiecznej, to może cierpienie i ból bliskich, żałoba i łzy, i ludzkie współczucie tych nieprzeliczonych tysięcy, tysięcy ludzi, solidaryzujących się w tych dniach ze zmarłymi oraz z ich rodzinami, ma głębszy sens i jest potrzebny dla ich oczyszczenia i ubogacenia, aby wezwani nagle przed Boży tron, stanęli tam nie z pustymi rękami, ale nieśli też naszą zbolełą miłość do nich, którą wzbudzili swoim życiem i swoim odejściem. A może ten ból i ta refleksja stanie się początkiem i mojego nawrócenia, zacznem nowego, lepszego życia? O tak, gdyby ci nasi zmarli mogli ofiarować Bogu przemianę naszego życia, pogłębienie naszej wiary, gotowość pełnienia woli Bożej, pragnienie życia z miłością czynną wobec innych, ich śmierć miałyby głębszy sens, a oni sami stanęliby ozdobieni przed Bogiem godową szatą miłości bo przecież, jak mówi Pismo święte, «tylko miłość zakrywa mnóstwo grzechów»” (Słowo abp. Józefa Michalika, przewodniczącego Episkopatu, na zakończenie żałobnej Mszy św. na Placu Piłsudskiego w Warszawie, 17.04.2010).

<sup>9</sup> W najmocniejszy sposób wątek ten był obecny najpierw w długiej homilii kard. Józefa Glempa na Placu Piłsudskiego (17.04.2010), a potem w przemówieniu prymasa Polski abp. Henryka Muszyńskiego w trakcie Mszy pogrzebowej w Bazylice Mariackiej 18.04.2010 – zaczynającego się od słów: „Przez całe Twoje życie, Szanowny Panie Prezydencie, byłeś wiernym synem Kościoła i wiarygodnym świadkiem Chrystusowej Ewangelii. Twoją dewizą życiową były słowa «Bóg, Honor, Ojczyzna»”.

## Zmarnowany *Logos*

Miejscem, w którym powstający mit narodowy mógł zostać od razu przeświecony światłem wiary i otrzymać swoje pogłębiające objaśnienie – i zarazem oczyszczenie ze zbyt ludzkich zanieczyszczeń – były nauki głoszone w ramach liturgii żałobnych. Gdy czytamy dzisiaj główne homilie, wygłaszane w dniach żałoby przez najwyższych postawionych biskupów, dostrzegamy w nich – w różnych proporcjach – wszystkie potrzebne elementy chrześcijańskiego przepowiadania funebralnego: bolesne pytanie o sens – zrównoważone uwagą o niezgłębionych zamysłach Opatrzności<sup>6</sup>, ukazanie realnego lecz tajemniczego związku między katastrofą a obecnością Boga w świecie<sup>7</sup>, naukę o owocności nawet „nagłej i niespodziewanej śmierci”<sup>8</sup> – o ile pociąga ona za sobą nawrócenie żywych<sup>8</sup>, mniej lub bardziej rozwinięty panegiryk na cześć śp. Prezydenta<sup>9</sup>

– wydobywający z jego życia i słów przykłady dla zbudowania<sup>10</sup>, przypomnienie o nędzach debaty publicznej sprzed 10 kwietnia<sup>11</sup> – i nadzieję na odnowioną przykładem ofiarności więź społeczną i obywatelską<sup>12</sup>...

Rzecz ciekawa, żadna z tych uroczystych wypowiedzi hierarchów nie okazała się na tyle mocna czy nośna, aby uformować wyobraźnię społeczną do integralnie chrześcijańskiego przemyslenia Katastrofy. Mimo swoich ważnych treści, wypowiedzi te usytuowały się na poziomie nie tyle nauki, ile ukojenia. Biskupi pozwolili, aby słuchano ich bardziej jak kapelanów obsługujących ból narodowy, niż jak nauczycieli i przewodników narodu. Słowo arcybiskupa Michalika z Placu Piłsudskiego zostało wzmocnione szczerym aplauzem, lecz był on przede wszystkim włączeniem się w dobre słowo Arcybiskupa o do niedawna obrażanym śp. Prezydencie, niż podzięką za wielowątkową naukę.

Zjawisko traktowania kościelnej nauki funebralnej jako jedynie schlebiającego nastrojom chwili okolicznościowego przemówienia, potrzebnego, by się „zadumać”, pogłębiało się skokowo w przypadku liturgii peryferyjnych względem głównych obchodów narodowych. W sposób skrajny świadczył o tej słabości przypadków pogrzebu, w którym kościelna mowa pochwalna ku czci

<sup>10</sup> Abp Michalik, 17.04: „Przed dwoma laty w Krasieczynie, w starym, pięknym zamku książąt Sapiehów, przekazywano odnowioną kaplicę. W uroczystości miał wziąć udział Prezydent RP. Już z drogi zadzwonił z informacją, że przybędzie 15 minut wcześniej, i prosi, żeby tam był w pobliżu ksiądz, bo chce się wyspowiadać i przystąpić do Komunii świętej. Tak, człowiek, który liczy się

z sumieniem i zachowuje wrażliwe rozeznanie dobra i zła staje się jednym z nas, musi budzić zaufanie”.

<sup>11</sup> Abp Michalik, 17.04: „Ta tragiczna śmierć ujawniła wiele spraw niezwykłych, ukazała nowe oblicze naszego narodu, który może ma i wady, ale zobaczyliśmy i dotknęliśmy po prostu, jak wielkie ma serce. Tym bardziej cenne, że ten naród przez własnych swoich synów był przez ostatnie lata niejednokrotnie boleśnie wyszydzany, jako ten, który rzekomo nie potrafi skorzystać ani z nauczania papieża Jana Pawła II, ani z ofiarowanej mu wolności, a co gorsza, stróżem Majestatu Rzeczypospolitej uczynił człowieka, który nie pasował do ich kryteriów współczesności”.

<sup>12</sup> „Arcybiskup [Nycz] mówił, że cała Polska została dziś dotkliwie zraniona, «ale jeśli będziemy mądrzy, pokorni i okazemy się dobrymi uczniami Jezusa, to z tych ran popłynąć może ogromne dobro». – Może odzyskamy utracony w niemałym stopniu dar jedności i szacunku i pokory, może bardziej pokochamy Polskę, naszą ojczyznę i matkę, może stanie się jeszcze piękniejsza – zastanawiał się. [...] Ponad naszymi sporami, niechęciami, nad wszystkim zapłoną kiedyś cmentarne światełka – przypomniał. – Ta tragedia pokazuje jak wspólny jest nasz los, jak przez kruchość życia jesteśmy sobie bliscy, wierzący i niewierzący, ci z jednej i z drugiej opcji, świeccy i duchowni. Wierzę, że to dzisiejsze tragiczne wydarzenie, że ten narodowy pogrzeb, tak jak z całą pokorą porównując umieranie i pogrzeb papieża, zbliży nas, Polaków, do siebie, zbliży i pomoże patrzeć we wspólnym kierunku nie tylko przez najbliższe dni narodowej żałoby, ale i przez miesiące lata troski o Polskę, troski wspólnej o dobro ojczyzny – wyraził nadzieję metropolita warszawski” (KAI, 10.04.2010).

<sup>13</sup> Próbka: „Najczęściej tak to jest, że musi człowiek umrzeć, żeby usłyszeć o sobie tyle dobrych słów. Jednak myślę, że Iza [Jaruga-Nowacka] była tą osobą, o której dobrze wielu z nas, choć nie wszyscy, a na pewno wielu z nas tu obecnych, mówiło dobrze za życia, bo onieśmielała nas swoją osobą, urodą. Przyciągała nas swoją bezpośredniością. Iza zawsze wyglądała wspaniale – wiecznie młoda, bo tak, jak rękopisy nie płoną,

tak ludzie, którzy niosą w sobie wewnętrzną radość nigdy się nie starzej – wspominał Jarugę-Nowacką, ks.

Nowak – prywatnie dobry znajomy zmarłej. [...] Jako osoba głęboko wierząca jestem przekonany, że przyjdzie ten moment, kiedy spotkam kiedyś Izę, która z tym swoim właściwym dla siebie uśmiechem powie mi: «Arku, długo tu na ciebie czekałam, pozwól, że teraz oprowadzę cię po tych miejscach, o których wtedy, gdy żyliśmy na Ziemi nie wyobrażaliśmy sobie jak one wyglądają». Głęboko wierzę, że tak właśnie się stanie – podkreślił ks. Nowak” (PAP, 22.04.2010).

<sup>14</sup> Relacja widza w komentarzu zamieszczonym na stronie fronda.pl: „Oglądałem fragment transmisji w tvp.info i akurat trafiłem na mowy pogrzebowe/pożegnalne wygłaszane nad grobem. Jako trzecia przemawiała jakaś starsza feministka. Zachwalała p. Izabelę za aborcję, powiedziała coś w rodzaju «połączył nas stosunek do przerywania ciąży» oraz, że dla p. Izabeli aborcja była kwestią nie przynależącą do światopoglądu, ale do wolności kobiety. Obok stał Ksiądz, kapłan katolicki (to chyba ten x. Nowak, ale nie wiem, bo z wyglądu nie znam). Ma się rozumieć, że na te pienia na cześć dzieciobójczego wymiaru działalności p. Izabeli nie zareagował ni słowem” (Radek Malicki, 22.04.2010, [http://www.frondda.pl/12688/blog/czy\\_ks\\_arkadiusz\\_nowak\\_zna\\_katechizm](http://www.frondda.pl/12688/blog/czy_ks_arkadiusz_nowak_zna_katechizm)).

<sup>16</sup> „Arcybiskup Kazimierz Nycz powiedział, że fakt, iż ktoś zginął w lotniczej katastrofie nie daje jeszcze powodu, by go nazywać męczennikiem. – Słowo to odnosi się do tych, którzy dobrowolnie podjęli decyzję, aby swoje życie uczynić ofiarą w obronie wartości najwyższych. Jednak w przypadku wielu osób poległych tego tragicznego dnia, ich śmierć nosiła znamiona ofiarnego daru. To, co się stało stanowiło zwieńczenie ich wieloletniego życia poświęconego ocaleniu prawdy – także tej strasznej sprzed 70 lat – powiedział metropolita” (PAP, 25.04.2010).

<sup>17</sup> Warszawa: *Upamiętniono śp. ks. prof. Rumianka*, depesza KAI, 12.04.2010.

<sup>18</sup> USA: *Msza w polskim kościele ku czci ofiar katastrofy pod Smoleńskiem*, rmf24.pl, 12.04.2010.

zmarłej<sup>13</sup> wystąpiła równoległe z wypowiedzianą głośno przez jednego z mówców pochwałą jej zaangażowania na rzecz dostępu do aborcji<sup>14</sup>. Nie brakło przykładów zamilczania prawd trudnych przy równoczesnych bardzo świeckich gloryfikacjach. Z kolei przypadkiem odrywania pojęć chrześcijańskich od ich treści dla dość mglistego uwznioślenia i apoteozy ofiar Katastrofy było nazwanie ich, w homilii jednobrzmiącej z przemówieniem polityka, „męczennikami”<sup>15</sup> – zabieg, na który na szczęście zareagowano w innej homilii<sup>16</sup>.

Na stronie pisma „Christianitas” opisano to zjawisko „wydrążeń” sakralnego języka żałoby już na trzeci dzień po Katastrofie, w krótkim komentarzu odredakcyjnym: „W obliczu tragedii brakuje słów, lecz słowa są po to, by dawać w tragedii oparcie [...]. W obliczu naszej tragedii słowa się jednak gubią: Msze mają już służyć «upamiętnianiu»<sup>17</sup> i odprawia się je «ku czci zmarłych»<sup>18</sup>. Chcemy zgotować naszym zmarłym szybkie niebo doczesnej pamięci – lecz w słowach uwolnionych od swej Prawdy

wyrażamy już tylko beznadzieję: «wszystko się skończyło!» [...]. Język nie rozpada się z dnia na dzień. I nie rozpada się sam”<sup>19</sup>.

Zamiast mitu i *logosu*: sztuki magiczne

Niezależnie od niewykorzystanej szansy wypełnienia mitu narodowego *logosem* nadprzyrodzonym, posiadał on siłę złotego rogu. Jednak po raz kolejny w naszych dziejach porozbiorowych depozytariusze złotego rogu stracili głowę, a ich podkomendni z wielkiej szansy zachowali „ino sznur”.

Czy można rzec, że stracił głowę Jarosław Kaczyński, naturalny depozytariusz owego „złotego rogu”? Wprost trudno byłoby stawiać takie pytanie w odniesieniu do człowieka tak ciężko doświadczonego – każdy z nas zrozumie, że w tym stanie „utrata głowy” jest raczej stanem domyślnym, niż ułomnością. Jednak człowiek ten chciał i musiał podjąć na powrót udział w grze, w której poza odwagą właśnie umiejętność nietracenia głowy ma znaczenie podstawowe.

Czy zatem stracił głowę? Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wręcz przeciwnie, wykazał się zimną krwią, i to w stopniu zadziwiający. Był w stanie wejść w odgrywaną ze skrupulatną powagą grę pozorów, którą była „nowa twarz Jarosława Kaczyńskiego”, ta z pierwszego wywiadu po katastrofie<sup>20</sup> i ta ze spotu o sadzeniu dębów. Logika tej wyszukanej i wymagającej pozy była taka, żeby w warunkach wielkiego wstrząsu narodowego i związanej z nim większej podatności na rentę nie-materialną – wejść w rolę panującego i w pozie prezydenckiej, zaproponować swoim wyborcom wypłatę w „rozkosznej” rencie możliwości obcowania z człowiekiem co prawda cierpiącym, lecz jakże odmienionym, pozytywnym i stabilnym. Sztab wyborczy zrobił wszystko – przy-

<sup>19</sup> Redakcja, *Upamiętniamy i czcimy: szybkie niebo bez sądu?*, pismo.christianitas.pl, 13.04.2010.

<sup>20</sup> Przykłady wypowiedzi typowych dla ówczesnego tonu: „Jednym z elementów tej nowej sytuacji jest fakt, że dawne spory tracą na znaczeniu. Nie można oczywiście ich unieważnić, ale dziś musimy na nie spojrzeć inaczej. [...]

Teraz jest czas, żeby myśleć o przyszłości. Jest ku temu dobry moment. To nasze zobowiązanie wobec przyszłych pokoleń. Różnice polityczne nie mogą dłużej blokować budowy nowoczesnego kraju. Bo łączy nas Polska, a Polska jest najważniejsza” (*Jarosław Kaczyński dla Salon24* (cz. 1): *Czas porozumienia*, salon24.pl, 13.05.2010). „To pojednanie nastąpiło po tragedii. Teraz jest kwestia tego, jak je wykorzystamy. [...] Wyobrażam sobie, że teraz wspólnym celem staną się sprawy związane z budową nowoczesnego państwa. Jeśli nam się to uda, będzie to nasz olbrzymi dorobek dla przyszłych pokoleń. A jeśli chodzi o budowę nowych stosunków z Rosjanami – to przecież nasz wspólny interes. Ale podstawą do tego musi być prawda i wzajemny szacunek naszych dwóch narodów” (*Kaczyński: Nie wskażę następcy*. Wywiad cz.2, salon24.pl, 14.05.2010).

<sup>21</sup> „Jarosław Kaczyński chyba jednak ma rację, że Grzegorz Napieralski i SLD nie są dziś symbolami postkomunizmu i wobec nich można sobie nawet odpuścić to określenie.

[...] To wokół marszałka [Komorowskiego]

ukształtował się na nowo postkomunizm, już go otorbił, już go zniewolił i nim manipuluje. [...]

Postkomunizm żyje.

Komorowski jest jego inkarnacją” (Marek Migalski, *Postkomunizm żyje!*, migal.salon24.pl, 24.06.2010).

<sup>22</sup> Relacja ze spotkania wyborczego w Radomiu: „Doszedłem do wniosku – chociaż ktoś mi to odpowiedział, nie ukrywam – że powinniśmy zmienić język po tej tragedii [smoleńskiej], która powinna nas jakoś połączyć, a w której zginęli także wybitni przedstawiciele SLD, przedstawiciele tego dojrzającego

pokolenia, które żyło i funkcjonowało w PRL-u jako ludzie zupełnie dorośli i niekiedy zupełnie zaangażowani – mówił [Jarosław Kaczyński]. [...] Podkreślał, że politycy SLD zginęli, lecąc, żeby oddać hołd ofiarom Katynia. – Powinniśmy wyciągnąć z tego jakieś wnioski. Język polskiej polityki powinien się zmienić – dodał. – Będę używał tego języka, że to są lewicowcy, zarówno w stosunku do ludzi młodego pokolenia, jak pan Napieralski, którzy z tamtym systemem nie mieli nic wspólnego, jak i do lewicy mojego pokolenia, które przeżyło kawał życia w komunizmie – powiedział szef PiS. [...] Jeżeli ktoś mnie zapyta kim jest pan Józef Oleksy to powiem: jest to polski lewicowy polityk starszo-średniego pokolenia – zakończył Kaczyński” (PAP, 22.06.2010).

pomnijmy sobie telewizyjne orędzie Kaczyńskiego do Rosjan – aby wejść swoim wpływem na tereny opinii publicznej podporządkowane mitowi „cudownego pojednania”. Zaskoczenie i dezorientacja, wywołane tym manewrem – obliczonym przede wszystkim na krótki dystans kampanii – opłaciły się: przyniosły Jarosławowi Kaczyńskiemu premię zaufania u wahających się „konsumentów”, w niewielkim stopniu wyziewając entuzjazm jego przekonanych „wojowników”.

Kłopot z tą wyborczą maskaradą, będącą równocześnie udręką żałobnika i świecką namiastką głębszego nawrócenia, polegał na tym, że w obu przypadkach mieliśmy do czynienia z zamulowanymi wznioślejszymi postaciami dotychczasowej gry w ucieczkę przed powagą.

Kolejne etapy kampanii prezydenckiej dostarczały aż nadto dowodów na to, że zarówno PO, jak i PiS traktują cały otaczający świat jako *matrix*: miejsce „puste”, którego sens zależy wyłącznie od aktualnego zdefiniowania i mocy narzucania swoich definicji. W przypadku PiSu ta konstatacja była bardzo dotkliwym odkryciem dla wielu jego adherentów, nastawionych bardziej „metafizycznie” niż „konstruktywistycznie”. Owszem, niektórzy nawet chętnie przeżykali sugestię płynącą ze sztabu Jarosława Kaczyńskiego, że to kandydat PO (a nie kandydat SLD) jest prawdziwym wcieleniem postkomunizmu<sup>21</sup> – ale jednak na ogół z dużym niesmakiem przyjmowali grę wkupywania się w sympatie elektoratu SLD poprzez przymilanki do Józefa Oleksego, wydobywanie pozytywów epoki Gierka i ogłoszenie, że eseldowców – z którymi PiS dogadał się w mediach publicznych – nie będzie się odtąd nazywać postkomunistami<sup>22</sup>. Inna sprawa, że w reakcjach na te ostatnie manewry ujawniła się również zadziwiająco silna zdolność do pospiesznej asymilacji tej „nowej linii”, szkująco



sprzecznej z dotychczasowym językiem i doktryną PiSu, przez aparat partyjny<sup>23</sup>.

Efekt takiego „nowego otwarcia” – imponujący w skali wyborczej „fotografii” poparcia dla Jarosława Kaczyńskiego, skoro uzyskał 8 milionów głosów, liczbę rekordową na tle każdego dotychczasowego wyniku PiSu – był jednak niezadowolający w skali politycznych faktów: PiS przegrał, po raz kolejny. Krótki i „magiczny” okres kampanii skończył się, i prezes PiSu – ze swym instynktem ofensywnego gracza – w pewnym sensie musiał dość szybko zdezawuować i siebie, i swój sztab: musiał bowiem czym prędzej zadowolić nie tylko swoje własne, zrozumiałe emocje, ale i swój podstawowy elektorat, wyczekujący z niepokojem na „prawdziwego Jarka”.

Ten podstawowy elektorat, zwrócony w stronę PiSu od lat, przechowywał złoty róg mitu smoleńskiego – choć w futerale „mitu drugiego Katynia” – przez cały czas kampanii wyborczej, gdy sam Prezes odłożył go na bok. Jeśli „inny Kaczyński”, kandydat na prezydenta, mógł być przyjmowany przez swych dotychczasowych inteligentnych zwolenników co najwyżej z wyrozumiałością dla „wymagań etapu”, to w środku ruchu poparcia dla jego prezydentury próbowano mimo wszystko zadać w ów złoty róg mitu.

### Próby zadęcia

Pierwsza samodzielna próba zadęcia w złoty róg, bez upoważnienia przez partię czującą się dysponentem poruszenia narodowego, miała miejsce w TVP, niemal nazajutrz po katastrofie smoleńskiej, w tygodniu żałobnym. Polegała na oddaniu głosu ludziom gromadzącym się na Krakowskim Przedmieściu – czego efektem finalnym był film *Solidarni 2010* – oraz wszczęciu debaty nad stanem polskiej polityki w programach publicystycznych takich, jak *Warto rozmawiać*. Jednak – mimo wręcz fenomenalnej oglądalności TVP1 w dniach żałoby – kierujący telewizją publiczną zarząd z rozdzielnika PiSu i SLD pozbył się szybko osób, które miały odwagę po prostu oddać nastroje i przemyślenia Polski zjeżdżającej się przed Pałac<sup>24</sup>. Kampania wyborcza kandydata PiSu

<sup>23</sup> Przykład z miejsca bytności J. Kaczyńskiego: „Także przewodniczący rady miejskiej i szef PiS w Radomiu Dariusz Wójcik przyznaje, że on też, zaraz po wygranej w wyborach [samorządowych], powiedział w jakimś wywiadzie, że będzie współpracował ze wszystkimi oprócz SLD. Ale teraz zapewnia, że już wtedy szybko zmienił zdanie. – Zaczęliśmy współpracować. Przekonałem, się że obaj radni lewicy pracują merytorycznie, więc dlaczego mam z nimi nie rozmawiać? – mówi Wójcik. I podkreśla, że jeśli chodzi o postkomunę, to od dawna się już tak nie mówi. – Bo SLD to jedyna partia w naszej radzie, z którą można rozmawiać” (M. Ciepeliak, *Koniec postkomunizmu w Radomiu, czyli Prawo i... Sojusz*, „Gazeta Wyborcza – Radom”, 28.06.2010).

<sup>24</sup> „Zupełnie bez echa przeszło odwołanie szefa publicystyki w TVP1 Pawła Nowackiego, bez którego

nasz film *Solidarni 2010* nie miałby szans, żeby pojawić się na antenie. Jeżeli czas żałoby narodowej w TVP1 był czymś wyjątkowym, jeśli okazuje się, że transmisje na antenie publicznej jedyńki zmasakrowały oglądalnością konkurencję,

to m.in. zasługa Pawła N. Poległ jako «ten do odstrzału» bo ktoś musiał beknąć za *Solidarni 2010*. Tak samo jak Anita Gargas za «Tow. Generał» – słynny film o Jaruzelu. Im większy sukces, tym większe szykany...” (Jan Pospieszalski, *Tzw. Pnusków rządu*, janpospieszalski.salon24.pl, 28.05.2010). Zwolnieniu Gargas i Nowackiego towarzyszyły sugestie, że dopuścili się nadużycia obiektywizmu, m.in. oddając w dniach żałoby głos Stanisławowi Janeckiemu, ostro krytykującemu rząd Tuska. Paradoxs polegał na tym, że kompetencje Nowackiego przejął... Janecki, w tym samym czasie mianowany p.o. wicedyrektora TVP1. Eliminacja ideowych i kompetentnych dziennikarzy nie była pozbawiona logiki zastępowania ich osobami mocniej związanymi z priorytetami politycznymi PiS. Na bieżąco komentował to Marek Jurek: „Po miesiącu żałoby w powietrzu czuć już swąd nowego «sezonu politycznego». Partyjne centrale szykują swoje strategie wyborcze” (*Sezon nie dla dziennikarzy*, blog.marekjurek.pl, 12.05.2010).

<sup>25</sup> M. Jurek, *Smoleńskie Requiem*, blog.marekjurek.pl, 10.04.2010.

nie miała sięgać do mitu rodzącego się we wspólnocie, lecz oprzeć się na sztukach magicznych – więc zamiast mitotwórców potrzebni byli magicy namiętności...

Mit jednak już żył, choć jego główna treść moralna – opowieść o zobowiązaniu wszystkich wobec Rzeczypospolitej – szybko zaczęła przegrywać konkurencję ze swoją sensacyjną obwolutą: opowieścią o odpowiedzialności PO za katastrofę i rozwijającą ją narracją coraz dalej idących podejrzeń. Nie było to dziwne, zważywszy na fatalne zaniechania rządu Tuska w sprawie śledztwa wyjaśniającego przyczynę katastrofy, widoczny konformizm względem Rosji oraz – może przede wszystkim – obrzydliwe rozgrywanie emocjonalne sprawy przy pomocy Palikota. W tej sytuacji drugiej stronie, znowu bezpardonowo atakowanej w iście urbanowskim stylu, nie było łatwo skoncentrować się na wydobywaniu, dla dobra całości republikańskiej, głębszych sensów z wydarzeń i sytuacji. O wiele łatwiejsze było wyplacanie sobie gorzkiej renty emocjonalnej „bycia zdradzonym” przy zredukowaniu racjonalności jedynie do rekonstruowania wydarzeń w zastępczym, społecznym śledztwie.

W tej sytuacji szczególna odpowiedzialność spadała na świeckie autorytety katolickie, znajdujące się od dawna w szeregach owego „ponowoczesnego powstania”, które miało przywrócić Polsce myślenie państwowe.

Wieczorem w dniu Katastrofy Marek Jurek napisał na swoim blogu: „Skoro Bóg dopuścił na nas to doświadczenie – próbujemy wyprowadzić z niego sens (choć ostatecznie sens tego wydarzenia poznamy dopiero na tamtym świecie). Oby ta ofiara – złożona przez ludzi reprezentujących Rzeczpospolitą i naród, w drodze, by wypełnić obowiązek pamięci – była zbawiennym wstrząsem wydobywającym nas z obojętności wobec naszego Państwa, z lekceważenia stałych politycznych powinności. Oby dała nam ducha ofiary, bez której nie ma służby publicznej”<sup>25</sup>.

Wymienione przez byłego Marszałka Sejmu: „duch ofiary” i „służba publiczna”, opisywały dobrze dwa bieguny, w których

mieści się pogłębiony, lecz nadal inteligibilny sens Katastrofy, odczytywanej jako „zbawienny wstrząs”, z bólem, lecz i z zaufaniem w obecność Bożą w dziejach. W podobnym sensie wypowiedzieli się inni członkowie środowiska „Christianitas”<sup>26</sup>.

Dwa dni później ze swoją definicją sensu Katastrofy wystąpił w wywiadzie dla „Rzeczypospolitej” Dariusz Karłowicz. Jako jeden z bliższych współpracowników śp. Lecha Kaczyńskiego, redaktor „Teologii Politycznej” szedł w stronę bieguna służby publicznej: przypominał, że „testamentem wspólnym dla wielu tych, którzy zginęli”, jest marzenie o „silnym, nowoczesnym, podmiotowym państwie”. Potężne poruszenie społeczne, porównywane do wpłynięcia na powierzchnię „mickiewiczowskiej lawy”, powinno więc „zakrzepnąć w jakąś polityczną formę”<sup>27</sup>.

To samo przesłanie – o pragnieniu „swojego państwa, nowoczesnego, świadomego swej mocy i wartości, odważnego, sprawnego, dynamicznego” – wzmacniał inny z doradzających Prezydentowi redaktorów „Teologii Politycznej”, Marek Cichocki. Wypowiadał się już po rozczarującym konflikcie o pochówek wawelski, dlatego w głosie polskiego tłumacza Carla Schmitta obecna jest już mocna nuta polaryzującego odróżnienia przyjaciół i wrogów owej wielkiej i koniecznej wizji: z jednej strony „rozsądek, realizm, właściwe proporcje rzeczy”, znajdujące się u „zwykłych ludzi”, za to z drugiej – „jałowe elity”, które „od razu chwyciły się rozpaczliwie swej ostatniej deski ratunku: zaklęcia o polsko-rosyjskim pojednaniu”<sup>28</sup>. Trafna obserwacja dotycząca sztuczności „mitu pojednania” sąsiaduje tu z mocnym, rymkiewiczowskim uproszczeniem sporu, który wcale nie przebiegał między „zwykłymi ludźmi” i „elitami”, lecz między formacjami światopoglądowymi, z których każda posiada i swoich zwykłych ludzi, i swoje elity.

problemy. To jest jak grom z jasnego nieba, uderzenie pięścią w stół „interesarzy” i napomnienie skierowane do hipokrytów. Dość! Katastrofa smoleńska to wołanie o nasze narodowe nawrócenie – ponowne odkrycie szacunku dla narodowych instytucji i właściwe pojmowanie polityki. [...] Dlatego gdy jedni będą całą tę sprawę bagatelizowali, banalizowali, a drudzy – dla odmiany przekuwali na interesy swoich partii – my patrzmy głębiej: w tym niesamowitym zderzeniu życia i śmierci Pan Bóg wzywa do nawrócenia” (P. Milcarek, *Żądanie nawrócenia*, „Niedziela”, 25.04.2010).

<sup>27</sup> *Tylko zera są niekontrowersyjne*, „Rzeczpospolita”, 12.04.2010.

<sup>28</sup> M. Cichocki, *Obywatele bez państwa*, teologiapolityczna.salon24.pl, 27.04.2010.

<sup>26</sup> „I to jest sens drugi katastrofy: że tak jak świat usłyszał nareszcie o Katyniu wraz z prawdą o naszej historii – tak i my powinniśmy usłyszeć nareszcie o konieczności przetwarzania się naszego patriotyzmu w codzienną pracę dla Polski. Że życie jest służbą – najpierw Bogu, a zaraz potem, w hierarchii miłości i obowiązku, służbą doczesnemu dobru wspólnemu. Ta katastrofa przysłała w momencie, który już za bardzo przypominał rozkład «saskiej» obojętności wobec własnego państwa i polskiej polityki, w sytuacji upadku debaty publicznej, zdominowanej przez błazenady i fałszywe

<sup>29</sup> T.P. Terlikowski, *Szukając sensu w bezsensownym*, terlikowski.salon24.pl, 10.04.2010.

<sup>30</sup> T.P. Terlikowski, *Szukając sensu w tym, co wydaje się bezsensowne*, „Fronda” 55/2010.

<sup>31</sup> „Mimo ogromu poniesionej w Smoleńsku ofiary, Polska nie jest Chrystusem narodów. Jest Jonaszem w brzuchu wielkiej ryby. Przez wiele lat Bóg przygotowywał nasz naród do pełnienia duchowej misji w Europie. [...] Aż nadszedł dzień 10 kwietnia 2010 roku i narodowa tragedia wyrzuciła nas za burtę wygodnej egzystencji. [...] Ważne, byśmy nieustannie sami się nawracali i nie bali się głosić Ewangelii światu. Byśmy w końcu stali się prawdziwymi apostołami miłości i odkupienia.

Ale też byśmy nazywali po imieniu zło: aborcję, eutanazję, eksperymenty genetyczne i inne wielkie grzechy XXI wieku, oczywiście bez agresji i osądzania konkretnych ludzi. [...] Z chrześcijańskiego doświadczenia śmierci wychodzi odmieniona Polska. Rodzi się nowy naród (rdzeń tego słowa nie jest przypadkowy). Naród potrafiący iść za swoim Bogiem choćby czterdzieści lat przez pustynię. Czy sprostamy temu wyzwaniu? Czy staniemy się podobni do biblijnych Izraelitów? Po ludzku krnąbrnych i leniwych, ale każdego dnia nasłuchujących wskazówek z góry. Głęboko wierzę, że doświadczenie smoleńskiej tragedii odmieni oblicze ziemi. Tej ziemi” (W. Wencel, *Powstań, Jonaszu!*, „Gość Niedzielny”, 25.04.2010).

<sup>32</sup> W. Wencel, *Wielkość Lecha Kaczyńskiego*, 44.org.pl, 12.04.2010.

Od podnoszonej przez Marka Jurka, obowiązującej wszystkich ofiarności w służbie publicznej przesunęliśmy się do przypominanego przez redaktorów „Teologii Politycznej” marzenia „zwykłych ludzi” o nowoczesnym państwie.

W nieco odmiennym kierunku poszło, i to od pierwszego dnia, myślenie Tomasza Terlikowskiego, który „szukając sensu w bezsensownym”, uznał, że Katastrofa jest znakiem, iż z jednej strony „nie staniemy się takim samym narodem jak wszystkie”, a z drugiej – że składana Panu „polska ofiara jest nadal potrzebna”<sup>29</sup>. W rozwijającym tę pierwszą notatkę tekście opublikowanym we „Frondzie” Terlikowski precyzował i wyostrzał swoje podejście mesjanistyczne: „Polacy – czy tego chcą czy nie – wezwani są do misji, która sprawia, że nie będziemy narodem, który zadowolony jest samym tylko istnieniem. [...] Sensem historii Polski jest niejako współuczestnictwo w jedynej ofierze Chrystusa”. Oto szczególnie „misja, jaką dla Polski przewidziała Opatrzność”<sup>30</sup>.

Jak dopełnienie tej mesjanistycznej idei Terlikowskiego, brzmi jeden z poświęconych Katastrofie tekstów Wojciecha Wencła, najgłośniejszego w tamtych miesiącach reprezentanta środowiska „Magazynu Apokaliptycznego 44 / Czterdzieści i cztery”. Wencel także wyrażał przekonanie, że 10 Kwietnia oznacza chciane przez Boga wytrącenie Polski z marzeń o „wygodnej egzystencji” – i popchnięcie jej do „pełnienia duchowej misji w Europie”, na podobieństwo Izraela idącego za swym Bogiem<sup>31</sup>. W innym miejscu, w notatce powstałej dwa dni po Katastrofie, poeta wyraził przekonanie, że poza uwiarygodnieniem „wszystkich cnót przyzwykłego”, jej sens polega na pokazaniu – oczywistym dla „każdego zdolnego do metafizycznej refleksji Polaka” – że „Bóg wciąż wiąże z naszym krajem swoje plany”<sup>32</sup>.

Propozycje z jednej strony Terlikowskiego i Wencla, a z drugiej – Karłowicza i Cichockiego nie muszą być ustawiane w alternatywie, wręcz przeciwnie, dzięki wyjściowej formule Jurka możemy zobaczyć ich źródłową współzależność. A jednak nietrudno dostrzec napięcie między stawianymi akcentami: prymat idei nowoczesnego, podmiotowego państwa to niekoniecznie to, czego najbardziej wygląda prorok narodowego współuczestnictwa w ofercie Chrystusa.

Ktoś uważnie śledzący barwy idei mógłby nawet przewidywać w tym napięciu podstawę do rozłamu między pragmatycznymi suwerenistami-państwowcami i romantycznymi insurgentami-mesjanistami. Rozłam ten miał jednak nastąpić, w wymiarze politycznym, dopiero kilka miesięcy później, gdy „Teologia Polityczna” znalazła się w zapleczu partii Joanny Kluzik-Rostkowskiej, podczas gdy mistyki politycznej Wencla do dziś nie sposób pojąć bez mistycznego zaufania Jarosławowi Kaczyńskiemu<sup>33</sup>.

Tako rzeczce Rymkiewicz

Czytając wspomniane wyżej wyznania i manifesty, możemy uchwycić to, co dla przedstawicieli różnych środowisk było szczególnie ważne w pojmowaniu sensu Katastrofy i narodowej stawki w jej właściwym odczytaniu. Akcenty te, polityczne lub mistyczne, mogą się wzajemnie dopełniać, jednak – naszym zdaniem – same w sobie nie zdają sprawy z pewnej ideowej infrastruktury, która przynajmniej w niektórych okolicznościach okazuje się układem odniesienia zastępczym lub wprost ważniejszym od deklarowanego kiedy indziej.

Sygnalem istnienia tej infrastruktury mentalnej jest obecność Jarosława M. Rymkiewicza – nie jako autora w oczywisty sposób nie do pominięcia, lecz jako wyroczni, sadowionej w tym czy innym portalu, czasopiśmie albo artykule do wypowiedzania najbardziej apodyktycznych ocen i wezwań. To prawda, że w przypadku „Teologii Politycznej” – przynajmniej w jej najściślejszym

<sup>33</sup> „Rosja czeka. Tak jak czekała w 1944 roku na przeciwnym brzegu Wisły. Czeka na to, co w jej mniemaniu musi nastąpić: porażkę Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich i uzyskanie pełnej kontroli nad państwem przez Platformę Obywatelską. Wtedy będzie mogła wejść na gruzy polskiego romantyzmu, polityki historycznej, świadomości niepodległościowej. I zrobić z nami porządek. Nie piszę tego jako publicysta polityczny.

Piszę to jako poeta, którym od wielu dni targają prorocze sny. Zaczęły się miesiąc przed katastrofą smoleńską i trwają do dzisiaj. W tych snach dwugłowy orzeł (złowieszczy jak czarny kruk z trzeciej części „Dziadów”) krąży nad naszym krajem, ale nie może wylądować, dopóki silną pozycję polityczną zachowuje Jarosław Kaczyński” (W. Wencel, *Hej, kto Polak, na wybory!*, wojciechwencel.blogspot.com, 15.06.2010).



<sup>34</sup> O afirmacji polskości.  
Rozmowa z Jarosławem  
M. Rymkiewiczem,  
„Teologia Polityczna”  
5/2009-10, 18 i 29.

kregu wtajemniczenia redakcyjnego – chodzi o sadowienie na owej katedrze kogoś, z kim zawiera się „potężny sojusz” wynikający z „tajemniczej siły” przyciągającej ludzi „pod wieloma względami odmiennych” (wiedząc, że dla jednych Absolutem jest Bóg, zaś dla drugiego – „życie polskie”)<sup>34</sup>. Być może w przypadku poety Wojciecha Wencla wieszczą intronizacją Jarosława M. Rymkiewiczza jest już nie tyle takim sojuszem, ile hołdem składanym arcykapłanowi własnego powołania. W każdym razie można odnieść wrażenie, że w ostatnich miesiącach te różne motywy doprowadziły do sytuacji, w której w szczególnie ważnych momentach i sprawach z portalu „Teologii Politycznej” Rymkiewicz przemawiał niejako zamiast dość powściągliwych trzech redaktorów rocznika, natomiast na portalu „Czwórek”, przemawiał równie często *incognito*, głosem Wencla.

Zapładniająca funkcja wystąpień „mędrca z Milanówka” po 10 Kwietnia polegała na zainspirowaniu dwóch idei, połączonych w przesłanie z powodzeniem zastępujące w niektórych środowiskach wspominane już ogólnonarodowe znaczenie mitu smoleńskiego.

Pierwsza z nich to teza – autoryzowana Mickiewiczem – na temat dwóch Polsk. Po pierwsze, istnieją dwie Polski i dwa rodzaje Polaków: „Polacy, którzy kochają Polskę i są jej wierni – i jeszcze jacyś inni Polacy, którym Polska nie jest potrzebna”. Po drugie, pierwsi Polacy (patrioci) to żywa, gorąca lawa, młodość – zaś drudzy (kolaboranci) to zastygła skorupa, starość i zdziwaczenie. Po trzecie, „Mickiewicz uczy nas, [...] jak Polacy, którzy chcą służyć Polsce, mają traktować tych Polaków, którzy nie chcą jej służyć [...]. Porozumienie, [...] owszem, jest możliwe – przy pomocy kija. [...] Żeby ich piorun trzasł!”<sup>35</sup>.

Do tego dochodzi idea druga, podjęta w wierszu napisanym prawie Mickiewiczem: że jedynym i nieomylnym przywódcą,

<sup>35</sup> J.M. Rymkiewicz, *Czego nas uczy Adam Mickiewicz*, teologiapolityczna. salon24.pl, 27.04.2010.  
Dla porównania: „Marek Rymkiewicz, kiedy powtarza za Mickiewiczem, że są «Dwie Polski – ta o której wiedzieli

prorocy/ I ta którą w objęcia bierze car północy/ Dwie Polski – jedna chce się podobać na świecie/ I ta druga – ta którą wiozą na lawecie». [...] Nie ma sensu tracić sił na przekonywanie tych, dla których Polska jest tylko miejscem do mieszkania, a jej dziejową misją ma być upodobnienie się do sprawnej firmy, koncernu pomnażającego majątek i święty spokój. Trzeba raczej zadbać o to, by w sobie ocalić rozbudzoną w ostatnich tygodniach pasję, świadomość historyczną i eschatologiczną wyobraźnię. Nie możemy ponownie dać się usnąć medialnymi peanami na cześć materializmu, pragmatyzmu, wygodnictwa” (W. Wencel, *Dwie Polski, dwie Rosje*, 44.org.pl, 10.05.2010).

wybrany Jakubem Jasińskim naszych czasów, jest Jarosław Kaczyński<sup>36</sup>.

Oto przepisany na czas po 10 Kwietnia skrót *Wieszania*. Jeśli chodzi o „Teologię Polityczną”, miło było się tym zachwycać i uznawać za swój manifest – aż do czasu, gdy po przegranych wyborach prezydenckich Komitet Polityczny PiSu usunął Elżbietę Jakubiak, podejrzaną o zdradę aktualnego Jakuba Jasińskiego wobec przedstawicieli „cara północy”. Wówczas oczy się otwały: horror międzypartyjnej „wojny nuklearnej” jest już nie do wytrzymania, „należy znaleźć pole dla polityczności zdolnej abstrahować od logiki śmiertelnego starcia”<sup>37</sup>.

Jednak wcześniej – nie da się przed tym uciec – także z pokładu „Teologii Politycznej” odpalano rakiety z brykiem *Wieszania*, w odpowiedzi na szalone elukubracje Palikota, Bartoszewskiego czy Wajdy. Kto inny zaczął i na innym poziomie – lecz zgoda na zastąpienie złotego rogu Rymkiewiczowskim kijem na gorszych Polaków, na połowę Polski, była udziałem w wyprawie, po której zostaje „ino sznur”.

Jak napisał niedawno Tomasz Rowiński, myśli Rymkiewicza stały się już jakiś czas temu dla PiSu tym, czym wulgarna lektura Gombrowicza (w wykonaniu Palikota lub Cezarego Wodzińskiego) staje się dla PO: „poręcznym narzędziem politycznej mobilizacji”. Sam Rymkiewicz zgadza się najwyraźniej, by jego wzniosła „idea Polski” była faktycznie co najwyżej ideą Polski dla wyborców Jarosława Kaczyńskiego, gdyż pozostałych zwyczajnie Polska „nie potrzebuje”<sup>38</sup>.

Co za przekleństwo, któremu nie potrafiliśmy się przeciwstawić: mit smoleński, złoty róg dla wszystkich Polaków – mający każdego wydzwignąć choć trochę, a wszystkich mocno – zginął gdzieś pod naszymi nogami! Zdeptany, gdy chciano go obronić przed barbarzyńcami Palikota, zastąpiony sztukami magicznymi sztabu Jarosława Kaczyńskiego, a przez „zwykłych ludzi” z jego obozu wymieniony na poręczniejszy kij na „jałowe elity” w wymiarze połowy społeczeństwa.

Po prostu – zostali wybrani, bo tak spodobało się Panu” (W. Wencel, *Hej, kto Polak, na wybory!*, 44.org.pl, 15.06.2010).

<sup>37</sup> D. Karłowicz, *Chwasty i mutanci*, teologiapolityczna.salon24.pl, 25.11.2010.

<sup>38</sup> T. Rowiński, *Mitologie naszego czasu – Gombrowicz i Rymkiewicz*, pismo.christianitas.pl, 29.11.2010.

<sup>36</sup> J.M. Rymkiewicz, *Do Jarosława Kaczyńskiego*, teologiapolityczna.pl (19.04.2010). Dla porównania: „W 2007 roku Jarosław Marek Rymkiewicz pisał: «Wszystko, co robi Jarosław Kaczyński, jest dobre dla Polski. Podkreślam – wszystko. To zdanie obejmuje także jego błędy, jego pomyłki, jego niepowodzenia, jego nieudane przedsięwzięcia». Wtedy wizja poety z Milanówka wydawała mi się przesadą. Dziś wiem już, że była realistyczna i nie miała nic wspólnego z kultem jednostki. Z jakichś względów bowiem Jarosław Kaczyński i jego poległy w Smoleńsku brat zostali przez Boga wyznaczeni do odegrania kluczowej roli w historii Polski. Nie zawdzięczają tego swoim talentom ani osiągnięciom, politycznej skuteczności ani szczególnemu patriotyzmowi.

<sup>39</sup> Jakub Lubelski, *Który model konfliktu wybieracie?*, teologiapolityczna.pl, 21.06.2010.

<sup>40</sup> D. Karłowicz, *Chwasty i mutanci*, teologiapolityczna.salon24.pl, 25.11.2010.

<sup>41</sup> T.S. Eliot, *Chrześcijaństwo – kultura – polityka*, tłum. i opr. P. Kimla, Warszawa 2007, 50.

<sup>42</sup> Tamże, 50n.

<sup>43</sup> „Wspólnota chrześcijan nie jest przejrzystą strukturą, ale ciałem o niejasnym kształcie, składającym się zarówno z duchowieństwa, jak i ludzi świeckich, z bardziej świadomych i lepiej duchowo oraz intelektualnie rozwiniętych jednostek, wywodzących się spośród nich. Ich tożsamość wiary i dążeń, ich wykształcenie oparte na wspólnym systemie edukacji i wspólnej kulturze, będzie tym, co umożliwi im wywieranie wpływu na siebie nawzajem i uleganie wzajemnemu wpływowi, w wymiarze zbiorowym natomiast oznaczać będzie stworzenie świątłych umysłów i sumienia narodu” (tamże, 58).

## Niewolnicy w pieczarze

Nie czas jedynie załamywać ręce nad faktem, że – w sytuacji narastania urealnienia projektu „polskie państwo podziemne kontra władza”<sup>39</sup> – „nikt nie zadał sobie trudu by ten horror przerwać”, chociaż „mogło to zrobić wielu”<sup>40</sup>. Biorąc pod uwagę naszą własną część odpowiedzialności, trzeba raczej zapytać wprost: czy po dwudziestu latach niepodległości mamy w Polsce polityczną opinię katolicką – nie tylko odpowiednio silną, ale i należyście samodzielną względem czynników partyjnych?

Podkreślam, że nie chodzi o opinię katolicką, która z wątpliwym wdziękiem manifestuje swe oddalenie od „kłótni politycznych” – lecz o taką, która właśnie potrafi dokonywać politycznej oceny i wywierać nacisk na czynniki życia politycznego.

Czy w Polsce istnieje polityczna opinia katolicka? W znanym eseju o społeczeństwie chrześcijańskim Thomas S. Eliot robił realistyczne założenie, że – nawet bez wyraźnej apostazji względem swej wiary i moralności – „państwo będzie skłaniało się ku doraźnym celom, które mogą przerodzić się w cyniczną manipulację, ludzie zaś wykażą skłonność do zapadania w intelektualny letarg i do wyznawania zabobonów”<sup>41</sup>. Co ciekawe, w konsekwencji Eliot nie przechodził od razu do wskazania odpowiedzialności hierarchii kościelnej, lecz sporo uwagi poświęcił znaczeniu obecności w społeczeństwie i oddziaływania – zarazem na państwo, jak i na społeczeństwo – swoistej elity „świadomie i starannie praktykujących chrześcijan, w szczególności tych, którzy wykazują przewagę intelektualną i duchową”<sup>42</sup>. Owa, jak mówił, „wspólnota chrześcijan” odgrywa niezastąpioną rolę także w wymiarze politycznym, jako światło „sumienia narodu”<sup>43</sup>.

Istnienie takiej chrześcijańskiej opinii politycznej jest pożądane nie tyle w świetle jakichś abstrakcyjnych wizji i nie wyłącznie z powodu potencjalnie abstrakcyjnych zasad „współodpowiedzialności świeckich” – lecz przede wszystkim z powodu samej natury społeczności chrześcijańskiej. Rzeczywiście obok dwóch elit władzy – świeckiej i duchownej – oraz odpowiadających im, przenikających się społeczeństw – cywilnego i kościelnego – kultura chrześcijańska potrzebuje i tworzy sobie coś w rodzaju tkanki łącznej: warstwę ludzi, świeckich i duchownych, zdolnych

do myślenia „pryncypialnego” i oceniania sytuacji w jakimś oddzieleniu od „doraźnych celów” (co komunikuje ją z kościelnym autorytetem duchowym), lecz w mocnym poczuciu solidarności ze wspólnotą doczesną (co naturalnie komunikuje ją z agendą polityczną). Edukacja i media – można by rzec nieco staroświecko: uniwersytet i salon – to dwa, zwykle interferujące obszary, w których owa inteligencja, *community of christians*, mogłaby równocześnie kultywować szlachetne dociekanie „nie tego, co kto sądzi, lecz jaka jest prawda w rzeczywistości”, oraz praktykować – na poziomie mądrościowym, nie technicznym – namysł nad tym, „co robić”.

Oczywiście ta specyficzna rola chrześcijańskiej elity inteligentnej to bardziej odpowiedzialność niż przywilej stanowy. Eliot zdawał sobie sprawę, że „tak jak w państwie może nastąpić przejście od celów doraźnych do zupełnego braku zasad, a społeczność chrześcijańska może zapaść w odrętwienie, tak też wspólnota chrześcijan może zostać osłabiona przez grupową bądź indywidualną ekscentryczność i pomyłkę”<sup>44</sup>.

W Polsce istnieje sektor inteligencji katolickiej – spod sztandaru „Tygodnika Powszechnego” – który w ogóle troszczy się bardziej o adaptację katolików do mentalności liberalnej, niż o tworzenie standardów społecznych odpowiadających katolicyzmowi<sup>45</sup>. Przeciwwagą dla tej opinii „adaptacyjnej” było od lat dziewięćdziesiątych Radio Maryja, jako ośrodek opinii prowokujący swoich odbiorców do postaw niepokornych i opornych względem wówczas wszechobecnych standardów „Gazety Wyborczej”<sup>46</sup>.

Środowiska «Tygodnika» w polityczne kampanie Unii Demokratycznej, udział w nagonce *liberałów nadwiślańskich* przeciw rzekomej «chomeinizacji» Polski i wstręt do odwoływania się w prawie Rzeczypospolitej do „wartości chrześcijańskich”, wreszcie inicjatywy parlamentarne ludzi KIK-u i «Tygodnika» na rzecz jakiejś formy prawnej dopuszczalności zabijania nienarodzonych, a przynajmniej niekaralności tej zbrodni” (P. Milcarek, *Katolicy – nowa mapa*, „Christianitas” 19/20 (2004), 5).

<sup>46</sup> „Radio Maryja przyciągnęło do siebie wiele osobistości prawicy narodowej właśnie dlatego, że dało się poznać jako ośrodek żywego patriotyzmu polskiego. Niestety, wybrało jego formę na zewnątrz czysto defensywną, a wewnątrz konformistyczną względem polskich słabości, bez aspiracji do budowy chrześcijańskiego nacjonalizmu nowoczesnego Polaka, mniej łzawego i desperackiego, a bardziej obowiązkowego i skutecznego w praktyce życia społecznego. Patriotyzm w wydaniu Radia jako swojskie rozpozna relikty PRL-owskiej gospodarki socjalistycznej, za narodowy ruch oporu uzna blokady dróg, znajdzie uzasadnienia dla kolejnych roszczeń klasowych i zawodowych względem

<sup>44</sup> Tamże, 59.

<sup>45</sup> „W latach 80. «Tygodnik Powszechny» rządził opinią katolicką jak chciał i wychowywał zapatrzone weń elity kościelne, napotykając z rzadka na fummy i bierny opór garstki malkontentów, zwykle wiekowych rozbitków «starego Kościoła», którzy narzekali na boku na «nowinkarstwo» i «protestantyzację» lub gorszyli się gorliwie filosemicką linią krakowskiego periodyku. Zmiana przysłała na progu odzyskanej niepodległości – dla większości parafialnych i episkopskich prenumeratorów autorytatywnego organu *przyjaciół Ojca Świętego* szokiem było zaangażowanie

własnego państwa, chętnym uchem i lekkim językiem uczestniczy w każdym wybrzydzeniu na lata odzyskanej niepodległości, przestrzegając przed «ingerencją» w sprawy Białorusi, ma zrozumienie raczej dla «dobrosąsiedzkich stosunków z Rosją» niż dla sojuszu atlantyckiego, słowo «Zachód» kojarzy mu się jak najgorzej, Stany Zjednoczone – chyba wyłącznie z masonerią i rozwiązłością, za to „bojownicy arabscy” są porównywalni do AK i NSZ. (...) Jest to dość zawikłane i dwuznaczne, lecz podstawowe komunikaty, wmiksowane w patriotyczne tony

i wchodzące z nimi do samego serca wielu szlachetnych ludzi, są wciąż podobne: Zachód jest szatanem, Polska niepodległość to pasmo zdrady, liberałowie są gorsi niż postkomuniści, Radio Maryja jest ostatnią szansą dla Polski, nie wiercie nikomu poza nami” (tamże, 8).

<sup>47</sup> „Postępowanie prezesa PiSu w sprawie ochrony życia w Konstytucji było dokładnym zaprzeczeniem formuły republikańskiej, a wyborem formuły chadeckiej. Nie dość, że ujawniło głęboki brak osobistego zrozumienia dla wagi sprawy – to równocześnie podważyło samą zasadę konstrukcyjną PiSu, z którą łączyły się nadzieje na tworzenie na prawicy partii równocześnie wielkiej i solidarnej. Co więcej, prezes Kaczyński właśnie w tej sprawie złamał te zasady, przy pomocy których budował siłę PiSu: podczas gdy w wielu innych, czasem o wiele mniej ważnych sprawach, potrafi grać «na przełamanie» – w sprawie ochrony życia całkowicie skapitulował przed walką, a nawet machał białą flagą, gdy Jurek prowadził z jego upoważnienia rozmowy polityczne w tej sprawie. Prezes nie przewidział skali zdeteminowanego poparcia, jakie projekt nowelizacji konstytucji miał w samym PiS-ie. Najwyraźniej też ani przez moment nie potrafił zaufać Marszałkowi Sejmu, wietrząc zgoła obsesyjnie jakiś podstęp «radykałów» i nie umiejąc niemal do końca nawiązać realnej współpracy przy tworzeniu porozumienia wokół szeroko akceptowanego projektu nowelizacji art. 30.” P. Milcarek, *Kaczyński złamał zasady*, „Rzeczpospolita”, 20.04.2007.

Na początku obecnej dekady wydawało się, że zaistniała szansa na tworzenie już nie tylko takiego ruchu oporu, ale i pozytywnej alternatywy dla postawy „adaptacyjnej”. Po roku 2000 dokonał się prawie jednoczesny zwrot całego archipelagu katolickich środowisk intelektualnych, w konsekwencji którego wiele z nich, przepojonych ogromną nadzieją na „nową Solidarność”, udzieliło bardzo dużego kredytu zaufania programowi IV RP i jej „rewolucji moralnej”.

Niestety nawet wtedy gdy ten kredyt zaufania katolików został wyraźnie wyczerpany przez Jarosława Kaczyńskiego, a nadzieje na uczciwe traktowanie agendy katolickiej przez PiS jako „partię republikańską” zostały dość brutalnie rozwiane<sup>47</sup>, nadal wielu liderów opinii katolickiej, na wielu poziomach, od centralnych do lokalnych, od publicystów do blogerów, całą swoją polityczną nadzieję pokładało w jednej partii.

Kłopotem może być więc nie tylko nieobecność lub bylejakość chrześcijańskiej opinii politycznej – jej słabe wykształcenie lub separacja od spraw narodowych – lecz i obecność szkodliwa, będąca efektem praktycznego wyrzeczenia się naczelnego kryterium chrześcijańskiej wierności, na rzecz jakiejś lojalności grupowej.

Może być tak, że uznani liderzy katolickiej opinii są w istocie kimś w rodzaju partyjnych agentów wewnątrz społeczeństwa chrześcijańskiego. Zamiast formułować zasadnicze wymagania



chrześcijańskie wobec społeczeństwa i wobec polityków, usprawiedliwiają wobec społeczeństwa chrześcijańskiego świecki konformizm polityków, z którymi czują się związani. Choć mogą w tej misji czuć się jak prorocy, przestali prorokować po Bożemu; stali się prorokami nadwornymi.

W naszym katolickim kraju stopień świadomego i zdeterminowanego kierowania się kryteriami chrześcijańskimi w wyborze politycznym jest niewielki: w sumie można mówić o nie więcej niż kilku procentach wyborców wymagających od swych kandydatów jasnych deklaracji na rzecz cywilizacji życia. Z drugiej strony mniej sprecyzowany, lecz realny czynnik „inklinacji ku chrześcijaństwu” ma znaczenie w odniesieniu do około 10-15 procent wyborców: są to ludzie, którzy co prawda nie uzależniają swego wyboru od zgodności z nauką moralną Kościoła, lecz angażują się bardziej, gdy mają poczucie tej zgodności; ta kwestia nie jest im obojętna<sup>48</sup>.

Oznacza to, że istnieje niezbyt wielka, lecz zauważalna politycznie grupa wyborców, która zwłaszcza przy okazji wyborów może być zmobilizowana do upomnienia się o nie przynoszące im profitów grupowych dobra narodowe wskazywane przez naukę katolicką. Ten elektorat katolicki – do dziś kierowany w znacznym stopniu głosem Radia Maryja – rozszerza się proporcjonalnie do spełnienia dwóch warunków: z jednej strony dotarcia do tych osób z konkretną wskazówką wyrażoną przez osoby zaufania katolickiego, z drugiej – uplasowania polecanego kandydata katolickiego w kontekście pozwalającym na wybieranie go bez potrzeby uzasadniania tego wobec innych kwestią zasad.

<sup>48</sup> Por. CBOS, *Opinie o działalności Kościoła*, Raport z badań, Warszawa 2007, 8.

### Stare bukłaki

Niezależnie od wartej prześledzenia niżej roli politycznej opinii katolickiej w wyborach prezydenckich 2010, trzeba sobie zdać sprawę z pewnych tradycji zaangażowania katolickiego. Potencjał, wynikający z politycznej funkcji wyznawanego katolicyzmu, jest w Polsce wiązany od lat przez trzy typy polityki potrafiące wylegitymować się przed co bardziej świadomymi katolikami jakąś atrakcyjnością dla ich wiary i przeświadczeń moralnych.

Pierwszym jest *polityka „restytucji porządku”*. Jej wielkim pozytywnym jest przechowywanie zasady, że cywilizacji chrześcijańskiej się nie wymyśla, nie konstruuje – lecz że trzeba jej bronić jak dzie-

dzictwa. U początku nowej niepodległości formą zorganizowaną tej polityki – operującą myślą o rekonstrukcji państwa polskiego na zasadach chrześcijańskich – był ruch reprezentowany przez Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Wojna o pamięć – przegrywana nie tylko z liberalną narracją „Wyborczej”, ale i z legendą środowiskową Porozumienia Centrum, a także z własną pogłębiającą się kompromitacją ZChN po 1993 – straciła w zapomnienie wszystkie niebagatelne osiągnięcia tej partii, choć tworzące ją środowiska chrześcijańsko-konserwatywne działały nadal, pod innymi firmami.

Intelektualno-polityczny zanik sztandaru ZChN sprawił, że insygnia *polityki „restytucji porządku”* w praktyce znalazły się w niszy Unii Polityki Realnej, tak jakby chodziło w nich (jedynie) o teoretyczne rozważania o restytucji monarchii arcychrześcijańskiej lub o asertywne felietony Janusza Korwin-Mikkego. W tym nowym kontekście – naznaczonym przede wszystkim korwinowym ekonomizmem – wyostrzeniu uległ strukturalny antydemokratyzm, posępna i rozgoryczona pozostałość po monarchicznej witalności *Christianitas*. Jako breloczek do kadrówki konserwatywnego liberalizmu, *polityka restytucji porządku* przestała być realistyczną akcją na rzecz odziedziczonych aktywów cywilizacji chrześcijańskiej, a stała się ekskluzywnym „heroizmem imaginacji” oraz dandyzmem intelektualnym, zgryźliwym wobec „motłochu” i „pobożnych socjalistów”. W efekcie dzisiaj głównym przekazem tej *polityki* jest podbarwiony nostalgią monarchistyczną antydemokratyczny nihilizm: coś w rodzaju marzenia, że przyjdzie jakiś nowy Pinochet i „nie będzie się cackać”.

Drugim typem jest *polityka „chrześcijańskiej demokracji”*. Być może w jej punkcie wyjścia tkwiło kiedyś przekonanie – jakże słuszne – że wyznawanie i szerzenie chrześcijaństwa nie jest ściśle związane z żadnym konkretnym ustrojem, a zatem i cywilizacja chrześcijańska zamiast monarchiczna może być demokratyczna. Jednak w praktyce do głosu doszedł czynnik bardzo obciążający: skłonność raczej do wymyślenia *nouvelle chrétienté* niż do obrony *Christianitas*. Co więcej, do tego naiwnego idealizmu doszło jeszcze katastrofalne nieporozumienie w postaci przekonania, iż do celu w postaci chrystianizacji demokracji idzie się przez uprzednie zdemokratyzowanie chrześcijaństwa, wytworzenie

w nim swoistej mistyki demokracji, jakby na wzór dawnej mistyki władzy królewskiej, z tym, że tym razem sankcja religijna miała objąć nie pewien typ rządu, lecz ideę „najlepszości” demokracji, znanej w wersji liberalnej<sup>49</sup>. Koniec końców, ideologiczni chadecy znajdują się w pozycji analogicznej do ideologicznych obrońców „*ancien régime'u*”: o ile ci ostatni za swoją największą misję na rzecz chrześcijaństwa uznają jakieś umniejszanie demokracji – o tyle ci pierwsi, wręcz odwrotnie, uznają, że rozpowszechnienie wolnościowej demokracji musi przysłużyć się chrześcijaństwu.

Dyskurs ten był od dziesięcioleci wzmocniany przez aktywność katolików postępowych z linii „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi” oraz szerzony ze stemplem „soborowego nauczania o wolności religijnej”. W tej wersji stał się w nowej niepodległości częścią wykładni zaangażowania politycznego prawego skrzydła Unii Demokratycznej, później Unii Wolności: walka o rozwój demokracji (liberalnej) to podstawowa treść chrześcijańskiego zaangażowania w politykę. Czasami oznacza to konkordat, a czasami – blokowanie projektów prawnej ochrony życia nienarodzonych.

Trzecim typem polityki, zasysającym wraz z poprzednimi publiczną witalność polskich katolików, jest *polityka ojczyzny*. Wartością podstawową jest tu lojalność względem własnej wspólnoty narodowej – co w praktyce narodu chrześcijańskiego musi oznaczać również pewne służebne odniesienie względem chrześcijaństwa, przynajmniej w zakresie zinterioryzowanym w dziedzictwie ojczyznianym. W pewnym przybliżeniu można powiedzieć, że w Polsce szczerą *polityka ojczyzny* przyjmie w sposób naturalny do swej agendy tylko te składniki chrześcijańskie, które już wcześniej zostały zdefiniowane – wyraźnie i powszechnie – jako niezbędne polskości w porządku publicznym; natomiast propozycje redefinicji tego zbioru – na przykład w sensie ich aktualizacji o nowe problemy lub w sensie pogłębienia zaangażowań – są przyjmowane ostrożnie lub wręcz nieufnie, z obawą czy taki ideowy „luksus” nie utrudni politycznej realizacji aspiracji wyznaczonych przez witalność narodową lub rację stanu, uznawanych za nadrzędne.

Jak widać, niestety nawet w kraju charakteryzującym się sporą gorliwością chrześcijańską *polityka ojczyzny* raczej ograniczy się do zachowania treści chrześcijańskich, które weszły z innych

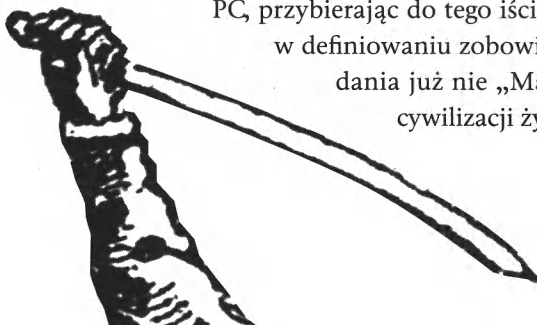
<sup>49</sup> Por. J. Bartyzel, *Katolicka teologia polityczna w XX wieku*, „Christianitas” 13 (2002), 125-129.

powodów do amalgamatu tożsamości ojczyźnianej – niż wykaże się ofensywnym męstwem i roztropnością w kontynuowaniu odziedziczonego dzieła uczestnictwa w cywilizacyjnej misji chrześcijaństwa.

Tak rozumiana *polityka ojczyzny* była charakterystyczna dla przekonani większości lokalnych działaczy podziemnej „Solidarności”, wchodzących do polityki po 1989: był to podstawowy ton obozu zebranego w kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy w 1990, następnie po trosze w swoistym polskim gaullizmie „obozu belwederskiego” do 1995 – i równoległe w wielu antywałęsowskich formacjach centroprawicowych, a w końcu też w AWSie. W inny sposób był to tryb myślenia neoendeków odbudowujących swoją obecność polityczną poprzez Ligę Polskich Rodzin (trzeba jednak przyznać, że tu z o wiele większą skłonnością do ofensywnego podnoszenia różnych postulatów katolickich, z zerkaniem w stronę *polityki restytucji porządku*).

Na początku naszego wieku *polityka ojczyzny* – wraz ze swoim akceptująco-ograniczającym stosunkiem do politycznych implikacji katolicyzmu – zaczęła odradzać się w projekcie, który w końcu nabrał konkretnego kształtu pod wrażeniem z jednej strony szoku afery Rywina, a z drugiej – w atmosferze hossy duchowej „papieskiego kwietnia” 2005, a więc w atmosferze mającej pewne styczność z antysystemowym buntem patriotycznym pierwszej „Solidarności”.

Prawo i Sprawiedliwość w swej wersji z 2005 – równocześnie już dojrzałej i jedynej zwycięskiej wyborczo – było jednak czymś wykraczającym poza któryś z wymienionych skryptów politycznych. Współtworzony przez braci Kaczyńskich, Ludwika Dorna, Marka Jurka, Kazimierza M. Ujazdowskiego, ówczesny PiS miał szansę w oryginalny sposób skonsumować politycznie najważniejsze walory wszystkich trzech formuł. Natomiast po roku 2007 było już wiadomo, że partia Kaczyńskich odchodzi od swych szeroko zakrojonych planów – ku nawróceniu wszystkich swych adherentów na „ojczyźnianą” logikę centroprawicy w stylu PC, przybierając do tego istic wałęsowski woluntaryzm w definiowaniu zobowiązań wynikających z posiadania już nie „Matki Boskiej w klapie”, lecz cywilizacji życia w partyjnym programie.



## Sans Terre

Z przyczyn tłumaczonych już wyżej, „republikańskie” i narodowe poruszenie po 10 kwietnia – choć zdawało się potężne w dniach żałoby – nie zdołało wytworzyć nowych przestrzeni akcji politycznej. Jeśli było „nowym winem”, zostało przez ludzi – postarzałych od smutku, a nie odnowionych nawróceniem – wtłoczone w „stare bukłaki”.

W tej sytuacji wybory prezydenckie przypominać musiały do pewnego stopnia grę w komórki do wynajęcia: kandydaci muszą się dostać przede wszystkim do swoich „nisz”. W przypadku najsilniejszych pretendentów oznacza to zajęcie nie jednej, lecz wielu „nisz”, co oczywiście wymaga sporej umiejętności przedstawiania się każdej z nich przy użyciu tych walorów, które mogą być atrakcyjne właśnie dla nich.

Obaj faworyci wyborów prezydenckich 2010 mieli swoje tradycyjne nisze w elektoracie katolickim: dla Bronisława Komorowskiego był to, mniej liczny, elektorat „chrześcijańskiej demokracji”, natomiast dla Jarosława Kaczyńskiego – o wiele bardziej rozwojowy elektorat „polityki ojczyzny”.

Najbardziej naturalny – ze względu na poglądy – kandydat katolicki w tych wyborach, Marek Jurek, był kiedyś jednym z najbardziej rozpoznawalnych reprezentantów polityki „restytucji porządku” – faktycznie poprzez ZChN współtworzył ją i kształtował. Jednak potem znalazł się w innym kontekście: jako wiceprzewodniczący PiSu wszedł ze swym stylem „restytucji porządku” do partii zarządzanej głównie przez ludzi „polityki ojczyzny”. Odchodząc stamtąd w 2007, utworzył Prawicę Rzeczypospolitej, ośrodek mający odbudować samodzielność polityczną „restytucji porządku”.

W ten sposób od kilku lat Marek Jurek znajduje się w rywalizacji z dwoma kolonizatorami elektoratu katolickiego: z jednej strony z Januszem Korwin-Mikkem, przyłączającym do swej sekcji ekonomicznej resztki tradycjonalistów kulturowych, z drugiej – z Jarosławem Kaczyńskim, któremu Radio Maryja w ramach sojuszu na rzecz geotermii i innych „ostatnich nadziei” dla Polski zawierzyło pieczę nad katolickimi „zwykłymi ludźmi”.

W wyborach, w których startował i Jarosław Kaczyński, i Janusz Korwin-Mikke, Marek Jurek nie był co prawda królem „bez ziemi”

(poprzednie wybory potwierdziły, że PR miała już swoje dominia), lecz faktycznie jego głównym problemem była kolonizacja elektoratu katolickiego przez królów „innej wiary”.

Przywódca Prawicy Rzeczypospolitej zmierzył się po raz kolejny z zasadniczym problemem, który ma także swoje konsekwencje wizerunkowe: czy ma być postacią tyleż egzotyczną lub irytującą dla ogółu, co kultową dla swoich „nieprzejednanych” – czy w istocie pryncypialną, lecz i formatu ogólnopolskiego? Zgodnie ze swoją stabilną naturą i ukształtowaną wizją polityki chrześcijańsko-konserwatywnej wybrał raczej to drugie. Jest to ściśle związane z faktem, że odbudowę samodzielności „restytucji porządku” traktuje on zawsze jako przywrócenie możliwości jej wpływania na kierunki „polityki ojczyzny”, w chwili obecnej dyrygowanej przez PiS, zaś po 10 Kwietnia otrzymującej patronat śp. Lecha Kaczyńskiego<sup>50</sup>.

Dlatego odpowiadając na pytanie jednego z blogerów salonu24 – „W jakich kwestiach zasadniczo się Pan dzieli z Jarosławem Kaczyńskim?” – Jurek mówił, że „przede wszystkim w tych, w których Jarosław Kaczyński podziela poglądy PO”, a zatem w kwestiach „zaangażowania na rzecz wartości cywilizacji chrześcijańskiej, priorytetu praw rodziny dla przyszłości Polski, zachowania waluty narodowej [...], bardziej aktywnej polityki na forum europejskim (w tym budowania silnej opinii chrześcijańskiej)”<sup>51</sup>.

Wbrew nieprzychylniej mu opinii, Marek Jurek nie był i nie jest politykiem „jednej sprawy” (w domyśle: sprawy ochrony życia). Natomiast jest prawdą, że jego polityczna konfrontacja z Jarosławem Kaczyńskim jest rozmyślnie selektywna: zamiast, jak nakazywałaby demagogiczna natura demokracji, prowadzić wojnę totalną – w której rozpętuje się wszystkie nieprzychylnie żywioły, aby tylko zapanować nad jednym żywiołem swojej niszy – marszałek Jurek rozlicza PO-PiSowskie skłonności cywilizacyjno-polityczne u Kaczyńskiego, natomiast podtrzymuje solidarność

<sup>50</sup> „Nasz konserwatywny program, silne państwo chroniące ład życia społecznego, polityka służebna wobec tego, co realizuje się w samym życiu społecznym, widzianym w powiązaniu z celem życia ludzkiego – Bogiem i dobrym życiem, którym Mu służymy – to podejście różne od neosanacyjnego kultu państwa, mistyki walki i chwały. Ale nie chodzi o to, by te nastawienia konfrontować – w końcu tam są też realne

wartości ludzkie, wymagające dopełnienia. Prawica chrześcijańsko-konserwatywna musi zachować samodzielność, zdolność prowadzenia polityki, a jednocześnie zdolność budowania szerokiego poparcia, które nasze zasady uczyni polityką państwa i treścią życia społecznego. Dlatego określać powinniśmy się wobec wyzwań, a nie konkurentów” (*Zbudowanie silnej chrześcijańskiej opinii politycznej jest konieczne. Rozmowa z Markiem Jurkiem*, „Christianitas” 44 (2010), 28).

<sup>51</sup> *Wywiad blogerów Salon24.pl z Markiem Jurkiem*, salon24.pl, 18.06.2010.



z nim tam, gdzie PiS chce być realną alternatywą suwerenistyczną dla „polityki miłości”<sup>52</sup>.

Logika polskich wyborów prezydenckich jest taka, że startując w nich Marek Jurek, zwłaszcza przy swoim rozsądku politycznym, mógł grać o dwie sprawy jednocześnie: najpierw o wzmocnienie o kolejne punkty samodzielnej pozycji polityki chrześcijańsko-konserwatywnej, a następnie – o użycie tego większego upodmiotowienia dla zakotwiczenia cywilizacyjnego przesłania obozu Jarosława Kaczyńskiego. Jednak to drugie jest ściśle zależne od tego pierwszego.

W polityce demokratycznej jedyną szansą kandydatów, za którymi nie stoją (jeszcze) duże interesy i utrwalone nawyki, jest poruszenie opinii publicznej. Politycy populistyczni korzystają z tej broni w ten sposób, że dewastują politykę jako taką – przy pomocy czystej demagogii (tak było np. z Samoobroną) lub, dla odmiany, moralizmu zinstrumentalizowanego dla podboju niszy „wrażliwych sumień” (tak bywało nieraz z Ligą Polskich Rodzin). Jeśli jednak ktoś nie chce być takim niszczycielem polityki, musi zamiast histerycznego komunikatu, który reprodukuje się sam w przestrzeni publicznej, dysponować czymś w rodzaju „orkiestry” liderów środowiskowych przekonanych do jego racji i potrafiących je wykładać w różnych „językach”.

„Orkiestra” Marka Jurka nie była liczna, lecz zagrała w pewnym momencie na tyle głośno, by ją usłyszano. Komunikaty otwierające na wybór Marka Jurka pochodziły od arcybiskupa Józefa Michalika<sup>53</sup>, marszałka Ludwika Dorna<sup>54</sup>, piosenkarza Pawła Kukiza<sup>55</sup>,

będzie wierny zasadom troski o dobro. W wypadku służby publicznej dobro wspólne stawiać trzeba ponad swoje indywidualne nadzieje, korzyści czy interes” (*Człowiek musi żyć prawdą i prywatnie, i publicznie*, „Nasz Dziennik” 5-6.06.2010).

<sup>54</sup> W wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” na pytanie: „Kto więc na prawicy ma jeszcze wirtu – cechę, którą kiedyś przypisywał Pan Jarosławowi Kaczyńskiemu?” Dorn odpowiedział: „Wydaje się, że pewnymi elementami dysponuje Marek Jurek. Nie wiem, czy to jest wirtu, ale marszałek Jurek ma wolę walki i jeśli zbierze podpisy – zaangażując się w jego kampanię wyborczą. Jak nie wiecie, gdzie iść w czasie bitwy, to maszerujcie na huk dział – radził swoim generałom Napoleon. Stosuję się do tej rady” (*Kolejka za powagą*, „Tygodnik Powszechny”, 4.05.2010).

<sup>55</sup> „I jedyną osobą [z ZChN], co do której się pomyliłem, a zweryfikowały to lata, był właśnie Marek Jurek. [...] On pozostał wierny swoim poglądom, swojej idei, do której z kolei ja dojrzałem. Tak, zostałem fundamentalistą katolickim, a w każdym razie tak się określa poglądy, jakie mam, na rodzinę, małżeństwo, aborcję czy gejów” (*Kukiz: będę głosował na Marka Jurka*, rp.pl, 5.06.2010).

<sup>52</sup> „Ze swej strony, kierując się solidarnością narodową, powtórzę po raz setny, że szanujemy mandat społeczny radykalnej centroprawicy – ale domagamy się szacunku dla zobowiązań dobra wspólnego, o których przypominamy, i dla naszych wyborców, bez których PiS nie zdobyłby władzy cztery lata temu i dziś nie byłby tym czym jest” (M. Jurek, *Racje naszej polityki*, blog.marekjurek.pl, 14.12.2009).

<sup>53</sup> „A jeśli chodzi o bliskie wybory, zawsze trzeba działać zgodnie z dobrze uformowanym sumieniem, czyli popierać dobro. Ja zagłosuję na kandydata, który pokazał, że potrafi bronić życia niezależnie od układów, ufając, że przy swoich dużych umiejętnościach zawsze

ze środowiska „Christianitas”<sup>56</sup>, z niektórych środowisk *pro life*, a w sposób pośredni lecz realny były wspierane przez redaktorów „Gościa Niedzielnego”<sup>57</sup> i przez Rafała Ziemkiewicza<sup>58</sup>.

W sytuacji gdy w świetle żadnych badań Jarosław Kaczyński nie mógł liczyć na *blitzkrieg*, czyli zdobycie prezydentury w pierwszej turze, zdobycie w tej turze także części jego potencjalnych głosów przez Marka Jurka powinno być traktowane i objaśnione przez polityczną opinię katolicką jako cel równocześnie ogromnie ważny dla uobywatelnienia głosu katolickiego oraz odpowiedzialny, bezpieczny z punktu widzenia dalszych losów kraju, rozstrzyganych w drugiej turze.

Niestety w tej sprawie Marek Jurek nie otrzymał tego jedynego wsparcia, na które miał prawo liczyć u potrafiących liczyć liderów opinii katolickiej. Można sobie wyobrazić, że niektórzy z nich wybrali działanie inne, mniej realistyczne, lecz wciąż szlachetne: negocjowanie poparcia dla Jarosława Kaczyńskiego już w pierwszej turze za cenę jego wyraźnych i konkretnych zobowiązań na rzecz agendy cywilizacji życia i dziedzictwa chrześcijańskiego.

Tak jednak nie było. Wiele rozpoznawalnych autorytetów katolickich włączyło się do kampanii Jarosława Kaczyńskiego bezwarunkowo, tylko po to, aby bądź potwierdzać na wyrost przychyłność

<sup>56</sup> Por. Redakcja

„Christianitas”, *Wybory 2010: popieramy Marka Jurka*, pismo.christianitas.pl, 16.06.2010.

<sup>57</sup> „Beatyfikacja

ks. Popiełuszki potwierdziła jeszcze raz starą prawdę, że na wierność zasadom, a nawet więcej – na świętość, dobry jest każdy czas. Ludzie miewają pretensje, że urodzili się w niesprzyjającym okresie. [...] Powyższa konstatacja przyszła mi na myśl w związku z pytaniami,

jakie zadaliśmy kilku kandydatom na prezydenta. Okazało się – co nie było większym zaskoczeniem – że dwaj główni pretendenci do najwyższego urzędu w państwie, tj. Jarosław Kaczyński i Bronisław Komorowski, głoszą poglądy nie zawsze zgodne z nauką Kościoła. Jaskrawo widać to przy odpowiedzi na pytanie dotyczące stosowania procedury *in vitro*, kiedy kluczają i uciekają od jasnej deklaracji [...]. Jedynym przepytanym przez nas kandydatem, który nie ma kłopotu z pełną obroną wartości chrześcijańskich, jest Marek Jurek. W przeszłości, ustępując z funkcji marszałka Sejmu, zapłacił wysoką cenę za swoją konsekwencję” (ks. Marek Gancarczyk, *Kwestia ceny*, „Gość Niedzielnny”, 13.06.2010).

<sup>58</sup> „Nie powiem, przy czym nazwisku zamierzam zakreślić krzyżyk 20 czerwca. To moja słodka tajemnica; a może raczej gorzka, w każdym razie, zachowuję to dla siebie. Mogę powiedzieć tyle, że będzie to jeden z tych ośmiu kandydatów, którym sondaże nie dają szansy wejścia do drugiej tury. Wybiorę go po pierwsze dlatego, że uważam go za człowieka i polityka uczciwego, po drugie dlatego, że głosi najbliższe mi poglądy, a po trzecie, a może to jest właśnie po pierwsze, dlatego, że nie zgadzam się na podzielenie Polski pomiędzy dwa dwory (bo przecież nie partie) będące w zasadzie prywatną własnością dwóch polityków, którzy wpasowawszy się w podział kulturowy polskiego społeczeństwa, nie są w stanie wyartykułować różniących się od siebie w jakiś istotny sposób programów politycznych. Co zresztą o tyle nie ma znaczenia, że i tak się ogłaszającymi na wybory programami wcale potem nie kierują” (R.A. Ziemkiewicz, *Moja mikroodezwa wyborcza*, fronda.pl, 7.06.2010)

kandydata PiSu dla ochrony życia<sup>59</sup>, bądź wpisywać go w biblijne cytaty i hagiograficzne tony<sup>60</sup>, bądź suplementować chłodny „nowy wizerunek Kaczyńskiego” bardziej krwistym przesłaniem „ostatniej nadziei dla Polski”, bez dotykania tematów trudnych dla kandydata PiSu<sup>61</sup>. Przewrotnym rodzajem apologii Kaczyńskiego było sugerowanie na łamach prasy katolickiej, że pytanie o jego katolicyzm nie ma żadnego znaczenia i związku z „wartościami podstawowymi” lub jest przejawem obojętności wobec państwa lub elementem akcji sił wrogich suwerenności Polski<sup>62</sup>.

<sup>59</sup> Taką rolę odegrał inż. Antoni Zięba, prezes Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka: „Z oficjalnie zgłoszonych i zarejestrowanych kandydatów poważnie liczą się tylko dwie

kandydaty: prezesa Jarosława Kaczyńskiego (z PiS) i marszałka sejmu Bronisława Komorowskiego (z PO). [...] 15 stycznia br. J. Kaczyński, jako prezes PiS-u, przedstawił projekt nowej Konstytucji RP, w której zapisał bardzo ważny artykuł 20. o brzmieniu: Każdy człowiek ma prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci. [...] W świetle powyżej przytoczonych faktów, dla obrońcy życia człowieka, dla katolika – decyzja, na którego kandydata głosować, jest oczywista” („Źródło” 21/2010).

<sup>60</sup> Przykład stylu z felietonu z „Niedzieli”: „Człowiek, który w tych dziwnych i trudnych czasach ma zadatki na prawdziwego przywódcę, musi [...] dostrzegać i respektować wymiar nadprzyrodzony wszystkich swoich decyzji. [...] Tak jak wszędzie – powodzenie w biegu po zwycięstwo w pierwszym rządzie zależy od tego, czy będzie się respektowało hierarchię spraw. A hierarchię ustanawia Bóg. Pierwsze przykazanie nie przypadkiem znajduje się na pierwszym miejscu. [...] Mało, fatalnie mało, jest dziś polityków, którzy, nie zważając na prężące muskuły, przeważające liczebnie i technicznie armie przeciwnika, potrafią dziś powiedzieć za św. Pawłem: «Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia». Mam nadzieję – mam pewność – że jednym z nich jest Jarosław Kaczyński” (Ewa Polak-Pałkiewicz, *Błąd w sztuce*, „Niedziela” 27/2010).

<sup>61</sup> Taki charakter miało wsparcie udzielane Kaczyńskiemu przez środowiska Radia Maryja: koncentrowano się wyłącznie na zamkniętym polu konfrontacji PiS-PO, mogąc wtedy przenosić domyślnie wszystkie walory na kandydata wyraźnie lepszego od Komorowskiego (por. np. rozmowa z o. Tadeuszem Rydzykiem, *Na kogo nie zagłosuję*, „Nasz Dziennik”, 17.06.2010).

<sup>62</sup> Przykład z łamów „Naszego Dziennika”: „Liczni pretendenci do fotela prezydenckiego prześcigają się w kreowaniu «programów» wyborczych. Co to oznacza? To, że w gruncie rzeczy pogardzają własnym państwem. Najdziwniejsze nieraz postaci biorą udział w czymś, co nazywają kampanią wyborczą, a co jest w ich wydaniu rodzajem operetki. Ktoś w tym spektaklu będzie mówił o «programie» likwidacji pasów bezpieczeństwa w samochodach. Inny wystąpi z «programem» internetu w domu i zagrodzie. Inni – niczym wędrowni kuglarze – będą obnosić się z cudownymi miksturami na gwałtowne uzdrowienie wszystkiego w Polsce lub z hasłami, które brzmią bardziej niż wszystkie inne «katolicko». [...] Prezydent nie jest osobą od kreowania «programów». On ma stać na straży niepodległości Polski, jej suwerenności, dobrze pojętego bezpieczeństwa państwa i jego obywateli oraz ma chronić pamięć historyczną Polaków. Ma chronić wartości podstawowe. [...] Ugrupowania niechętnie suwerennej Polsce zwalczają dziś Jarosława Kaczyńskiego z różnych pozycji, ale tymi samymi metodami. [...] Dla niektórych będzie za mało wiarygodny jako katolik” (Ewa Polak-Pałkiewicz, *Państwo – pierwsza pomoc*, „Nasz Dziennik”, 15-16.05.2010).

Krokiem dalej – mającym już charakter nieprzytomnego szkoda podmiotowości myślenia katolickiego o polityce – były wystąpienia, w których niektórzy reprezentanci opinii katolickiej wzięli się za bezceremonialne obsztorcowywanie Jurka za czelność naruszania jednolitego patriotycznego frontu poparcia Kaczyńskiego. Opinii katolickiej sugerowano, że start Jurka jest przejawem osobistych ambicji szkodliwych dla dobra wspólnego<sup>63</sup>. Autorem najzarliwszych wystąpień tego nurtu, piętnującym pro-Jurkowe odstępstwo bez przebierania w środkach (stylistycznych i moralnych), był znany nam już wyznawca rymkiewiczowszczyzny Wojciech Wencel<sup>64</sup>.

<sup>63</sup> Przykład z wypowiedzi Krystyny Czuby dla portalu fronda.pl: na pytanie dotyczące tego, że „Wiele osób skłania się ku taktyce, by w pierwszej turze oddać głos na kandydata, który jest najbliższy moim poglądom”, prof. Czuba powiedziała m.in.: „Rozmawiałam nawet z jednym z moich kolegów, który jest obecnie kandydatem na prezydenta, i powiedziałam również jemu, że dla dobra

Katolicy krytycy kandydatury Marka Jurka zarzucali mu ślepy moralizm oraz brak rachuby politycznej. Wiele jednak wskazuje na to, że to raczej oni sami dotknięci byli obiema tymi przypadłościami. Egzaltowany moralizm „chwili dziejowej” odjął im umiejętność liczenia: cała konstrukcja ich rozumowania była oparta na założeniu, że Kaczyński ma szansę na wygranie prezydentury już w pierwszej turze (lub: tylko w pierwszej turze). Nie potwierdzały tego żadne profesjonalne prognozy i sondaże (rzeczywiście rejestrujące szybki wzrost poparcia dla Kaczyńskiego, lecz nigdy nie do tego stopnia, by mógł on uzyskać w pierwszym etapie ponad 50%). W związku z tym posługiwano się fantazją oraz rzekomo „jedynymi prawdziwymi” wynikami tzw. sondażu prof. Brody (według którego Kaczyński otrzymywał w I turze 52,7% przeciw 27,3% Komorowskiego – podczas gdy w rzeczywistych wyborach było to 36,46% dla Kaczyńskiego i 41,54% dla Komo-

wspólnego czasem rezygnuje się z własnych ambicji”. (*Głosować? Katoliku, musisz!*, fronda.pl, 16.06.2010).

<sup>64</sup> Próbka retoryki Wencla: „Lepiej zagłosuję na Pana [Panie Marku] i razem będziemy manifestować swój sprzeciw wobec obowiązującej ustawy antyaborcyjnej oraz in vitro. W sumie będzie nas pięciu: Pan, arcybiskup Michalik, Dorn, Milcarek i ja. Pan Ludwik będzie nam pisał szturmowe «Zdruzgotki». Staniemy się «siłą rozstrzygającą» o polskiej eschatologii. Wprawdzie w wymiarze politycznym nic nie osiągniemy, nie zmienimy ani jednej ustawy, nie wprowadzimy własnej, ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, by dawać świadectwo. Tak żeby biblijny Bóg nie zgładził naszej ojczyzny ze względu na tych pięciu sprawiedliwych [...]. A Polska? Do obrony naszych interesów przed Rosją żaden Kaczyński nie jest potrzebny. Wystarczy Marek Jurek. Facet był może dotąd nieskuteczny, ale przynajmniej nikogo nie obraża i jest konsekwentny. Jak się postawi Putinowi, to ten w spodnie popuści i z miejsca przestanie nas traktować instrumentalnie” (W. Wencel, *Prawicowy gołębnik*, wojciechwencel.blogspot.com, 9.06.2010).

rowskiego)<sup>65</sup>. Na podstawie podobnych „prawdziwych sondaży” wspomniani autorzy odmawiali Markowi Jurkowi prawa do próby wyemancypowania elektoratu chrześcijańsko-konserwatywnego w pierwszej turze. Byliby zapewne mocno zaskoczeni, gdyby uświadomili sobie, że robili to z gorliwością analogiczną do tej, jaką wykazują się ci wszyscy, którzy od lat ganią Kaczyńskich za próby emancypowania polskiej polityki – z tym, że tym razem przedmiotem kpin i żali jest próba upodmiotowienia głosu katolików, którzy przecież zamiast się tak nabzdyczać powinni mieć poczucie, że w polityce krajowej są panną niepiękną i bez posagu...

Kłęska wyborcza Marka Jurka nie była jego osobistym niepowodzeniem – lecz symptomem głębokiej choroby katolickiego zmysłu polityczności, w tym wypadku ściśle powiązanej z nieporuszoną dominacją duopolu PO-PiS<sup>66</sup>.

Po pierwszej turze wyborów Rafał Ziemkiewicz pisał: „Większość Polaków wciąż odnajduje się w tym podziale, prostym jak audio-tele, i wciąż czuje się w nim wygodnie. [...] Jak na razie, nikt nie znalazł na tę tabloidyzację debaty publicznej sposobu. Wszyscy, którzy tego spróbowali, pozostają na marginesie tak samo teraz, jak byli tam przed wyborami. Ich dalsza działalność pozostaje wyłącznie kwestią determinacji i wiary w siebie, które niczym nie zostały podbudowane”<sup>67</sup>.

Wniosek prosty: po potężnej, bezprecedensowej katastrofie 10 Kwietnia nastąpił co prawda wylew nastrojów republikańskich – lecz został on szybko skanalizowany w dotychczasowym ukła-

czwarte miejsce w tych wyborach. Było to prostsze niż we wszystkich poprzednich wyborach prezydenckich. To byłby również silniejszy głos w drugiej turze. [...] Powtarzałem, że «pragmatyczny», «nie zmarnowany», wpływający będzie w pierwszej turze wyborów<sup>2010</sup> głos na kandydatów «trzecich», walczących o pozycję trzeciej siły polskiej polityki. Jarosławowi Kaczyńskiemu nie groziła implozja wyborcza (bo poparcie dla mnie wg CBOS rozważało 15% jego wyborców, czyli 700-800 tys.). Decyzję o tym, by nie walczyć o realną pozycję prawicy chrześcijańsko-konserwatywnej (której było trzeba tak niewiele), podjęli jednak konkretni liderzy opinii katolickiej [...]. Postawili na bezwarunkowe poparcie dla PiS, a nie na warunkową współpracę. Nic nie wiadomo mi o zobowiązaniach społecznych, które od swego kandydata uzyskali. Podejrzewam, że nawet nie zdecydowali się o nie... zwrócić. Rozumiem, że chcieli poprzeć Jarosława Kaczyńskiego; ja też go poprzę w drugiej turze. Ale w pierwszej mieliśmy szansę wzmocnić prawicę chrześcijańsko-konserwatywną” (blog.marekjurek.pl, 21.06.2010).

<sup>67</sup> R.A. Ziemkiewicz, *Poza Sejmem nie ma polityki*, blog.rp.pl, 20.06.2010.

<sup>65</sup> „Tak jak w poprzednich badaniach, wyniki uzyskane przez SIS są całkowicie sprzeczne z sondażami ogłaszanymi w mediach przez profesjonalne ośrodki badawcze; tym razem będą one zweryfikowane w wyborach. [...] Niewątpliwie osoby popierające Jarosława Kaczyńskiego mogą budować swoje nadzieje na prognozie przedstawionej przez SIS” (R. Broda, *Raport o wynikach sondażu przeprowadzonego w dniach 12-26 maja 2010*, glos.com.pl, 7.06.2010).

<sup>66</sup> Gorzka refleksja Marka Jurka po I turze: „Opinia publiczna nie tyle «jest», co powstaje – i trzeba ją tworzyć, na tym również polega walka polityczna. [...] Mogliśmy łatwo mieć

dzie politycznym. Od wzniosłości do namiętności: wróciliśmy do meczu „polityki uczuć”.

### Zwycięstwo prowokacji

*El sueño de la razón produce monstruos* – faktycznie każde metodyczne obrażanie rozumu, ulubionego tworu Bożego i Jego podobieństwa w człowieku, przywołuje demony. Wspomniana meczowa tabloidyzacja sporu politycznego w Polsce ma i ten aspekt: poddaje polityczność zbyt łatwej manipulacji przewrotnych umysłów.

W wyborach prezydenckich 2010 ta bezbronność osamotnionych uczuć względem magii demonów spin-polityki wróciła aż nazbyt wyraźnie, proporcjonalnie do siły rozpętanych uczuć. Co więcej, w kampanii przed drugą turą, PiS – partia, która otrzymała zaufanie ludzi szukających jakiegoś fundamentalnego zakorzenienia polityki – zdecydował się na odcięcie się od swej już jedynej kotwicy „metafizycznej”, w postaci jednoznacznego antykomunizmu. Wykonana przez Jarosława Kaczyńskiego wolta wprowadziła wielu jego zwolenników w poczucie, że głosując na niego, nie mogą już przewidywać nie tylko użytych w przyszłości środków realizacji polityki, ale i destynacji wspólnej podróży: celem staje się sam Jarosław, jego prezydentura w sposób cudowny chroniąca Polskę przed „carem północy”<sup>68</sup>.

Wobec dogłębnego wydrażenia Platformy – niegdyś partii pozującej na antykomunistyczną i postliberalną propaństwowość – proces dalszego wydrażania Prawa i Sprawiedliwości miał w sobie coś upiornego.

To, co działo się w końcówce kampanii prezydenckiej, wywołało u jednych hiobową konstatację o „śmierci konserwatywnej prawicy”<sup>69</sup>, zaś u drugich – opartą na podobnych przesłankach ideę, że centroprawicowy PiS powinien – m.in. z myślą o staniu się

<sup>68</sup> Obawy co do tego wrażał w trakcie kampanii także sam prof. Zdzisław Krasnodębski: „Kampania czysto wizerunkowa może tylko pogłębić postpolityczną korupcję polskiej polityki, a zbyt natęczywe umizgi do SLD mogą tylko osłabić poparcie i wywołać w Polakach pełne

rezygnacji poczucie, że nadzieja na lepszą, uczciwą, suwerenną i wierną sobie Polskę została pogrzebana w Smoleńsku wraz ze śmiercią Lecha Kaczyńskiego” (Z. Krasnodębski, *Zwycięstwo za wszelką cenę?*, „Rzeczpospolita”, 27.06.2010).

<sup>69</sup> „Lewicy udało się wpoić politykom głównych partii głębokie przekonanie, że liczenie się z opinią Kościoła czy konserwatywnej opinii publicznej jest oszołomstwem, «prawicowym ekstremizmem» czy zajmowaniem się tematami zastępczymi, które zwyczajnie nie opłaci się politycznie” (T.P. Terlikowski, *Śmierć konserwatywnej prawicy*, „Rzeczpospolita”, 26.07.2010).



raczej centrolewicowym – zadbać o odłączenie swego wizerunku od konserwatywności cywilizacyjnej<sup>70</sup>.

Kto jeszcze wtedy uwierzyłby, że ta tworzona pracowicie i sprytnie przez spin-polityków próżnia „umiaru” już niedługo stanie się jedynie umieszczoną sceną dla demonów rzucających ludźmi w grze nazwanej „sporem o krzyż na Krakowskim Przedmieściu?”

Montaż: gry polityczne Platformy

W objaśnieniach podawanych osobiście przez Jarosława Kaczyńskiego wyrażony przez prezydenta-elekta zamiar przesunięcia krzyża sprzed Pałacu został zdefiniowany jako przejaw zapateryzmu, czyli „dążenia do tego, żeby wszelkiego rodzaju symbole religijne zniknęły ze sfery publicznej”<sup>71</sup>. Podobnie w znacznie wcześniejszym liście europościa Zbigniewa Ziobry do Bronisława Komorowskiego pojawiła się wyraźna sugestia, że stawką sporu jest obecność krzyża w przestrzeni publicznej, wraz z przypomnieniem, że komuniści chcieli krzyż „zamknąć w kościołach i na cmentarzach, bo tam tylko jego miejsce”<sup>72</sup>.

Czy te bardzo dalekie sugestie lub oskarżenia miały jakieś podstawy w rzeczywistości? Czy zapowiadane (i następnie zrealizowane) przesunięcie krzyża należało określić jako jego „usunięcie”, motywowane antychrześcijańską interpretacją świeckości?

Oczywiście nie sposób nie dostrzec szkodliwych kroków ze strony prezydenta Komorowskiego i bliskiego mu obozu politycznego. Bezceremonialnie niezręczna była odpowiedź Komorow-

kułturowych” (P. Skwieceński, *PiS – skansen czy zmiana?*, „Rzeczpospolita”, 16.07.2010).

<sup>71</sup> „Jest rzeczą oczywistą, że za decyzję o usunięciu krzyża odpowiedzialny jest w stu procentach pan Komorowski i to on wprowadza w Polsce zapateryzm...” Kilka wierszy dalej Kaczyński opisuje zapateryzm jako „realizowane w Hiszpanii, dążenie do tego, żeby wszelkiego rodzaju symbole religijne zniknęły ze sfery publicznej, tej normalnej przestrzeni fizycznej, dostrzeganej przez zwykłego człowieka, tym bardziej, żeby zniknęły z instytucji publicznych, ze szkół wraz z nauką religii. Krótko mówiąc, żeby Kościół zepchnąć całkowicie – jak to się kiedyś mówiło – do kruchty. To jest dokładnie to samo, co głosili w Polsce komuniści na pierwszym etapie walki z Kościołem” (J. Kaczyński w wywiadzie dla portalu pis.org.pl, 6.08.2010).

<sup>72</sup> „Były też czasy, które Pan doskonale zna jako historyk i pamięta, kiedy krzyż był usuwany z przestrzeni polskiego życia publicznego – mówiono nam, że narusza świecki charakter państwa i drażni osoby niewierzące. Mówiono nam, że powinno się go zamknąć w kościołach i na cmentarzach, bo tam tylko jego miejsce. Jako działacz opozycji walczył Pan z systemem, który mówił nam, Polakom, takie rzeczy” (list Z. Ziobro do B. Komorowskiego, 11.07.2010).

<sup>70</sup> „Klasyczny» zespół poglądów pisowskich, taki, z jakim mieliśmy do czynienia jeszcze kilka miesięcy temu, składał się z trzech głównych segmentów. Przede wszystkim był to segment radykalnego antykomunizmu [...]. Segment drugi – radykalnego konserwatywności [...]. I wreszcie segment trzeci – republikański, segment mocnego państwa. [...] Odbudowanie pozycji PiS w wielkich miastach [...] jest niemożliwe bez dokonania zmian w tym systemie poglądów. [...] Zmiana ta polegać mogłaby na [...] stępieniu ostrza pisowskiego tradycjonalizmu w sporach

<sup>73</sup> „Pałac Prezydencki jest sanktuarium państwa. Krzyż, co było zrozumiałe, postawiono w nastroju żałoby, lecz żałoba minęła i trzeba te sprawy uporządkować ... Krzyż przed Pałacem Prezydenckim to symbol religijny, więc zostanie we współdziałaniu z władzami kościelnymi przeniesiony w inne, bardziej odpowiednie miejsce” („Gazeta Świąteczna” 10-11.07.2010).

<sup>74</sup> „Uważam, że ten krzyż powinien się znaleźć w miejscu, które jest dla niego bardziej godne, czyli w Świątyni Opatrzności Bożej, bądź na cmentarzu tam, gdzie są mogiły wszystkich ofiar (katastrofy smoleńskiej)» – mówił Graś w niedzielę dziennikarzom

w Warszawie. Dodał, że Pałac Prezydencki jest budynkiem administracji państwowej, a nie «miejscem kultu». «Takie symbole (jak krzyż – PAP) nie powinny się tam znajdować» – podkreślił Graś” (depesza PAP z 11.07.2010).

<sup>75</sup> „Miejsce upamiętnienia ofiar katastrofy smoleńskiej jest na Wawelu, na Powązkach i na paru innych cmentarzach – odpowiada poseł Iwona Katarasińska-Śledzińska (PO). – Krzyż powinien stać w miejscu do tego celu przeznaczonym, a instytucja państwowa, jaką jest Pałac Prezydencki, jest miejscem do pracy, a nie stawiania symboli religijnych” („Rzeczpospolita”, 12.07.2010).

<sup>76</sup> Marek Jurek, *Prawa Krzyża*, blog.marekjurek.pl, 12.07.2010.

skiego na obcesowe pytanie „Gazety Wyborczej”<sup>73</sup> – jednak jeszcze gorsze były wypowiedzi polityków PO, takich jak rzecznik rządu Paweł Graś, którzy nadawali projektowi przeniesienia krzyża do kościoła sens oczyszczenia świeckiej przestrzeni publicznej z „nie pasujących” do niej obiektów kultu religijnego<sup>74</sup>, sygnalizując przy tym – jak szefowa komisji kultury Iwona Śledzińska-Katarasińska – że ustawianie krzyża w instytucji państwowej, miejscu pracy, jest czymś niestosownym<sup>75</sup>.

Cytując te wypowiedzi, Marek Jurek uznał, że stanowią one „kampanię laicką przeciw krzyżowi”<sup>76</sup>. Rzeczywiście, trudno odebrać logikę tych głosów inaczej niż jako uruchomienie standardu laickiego, zgodnie z którym okolice „sanktuarium państwa” muszą być wolne od symboli religijnych, których miejsce jest w kościołach lub na cmentarzach.

Uruchomienie takiego standardu jest samo w sobie szkodliwe, ale niekoniecznie usprawiedliwia domysł, że prezydent Komorowski „wprowadza w Polsce zapateryzm”. O wiele bardziej prawdopodobna jest teza, że motywem głównym nie była laicka ideologia, lecz logika wojny międzypartyjnej, nazywanej wojną polsko-polską.

Zgodnie z tą logiką nazajutrz po wyborach prezydenckich nadzłym interesem Platformy było posłużenie się „chwytami”, które zdusiłyby niebezpiecznie rozrośnięte w wyborach poparcie dla Jarosława Kaczyńskiego. Należało zatem znaleźć taki zabieg, który sprowokowałby gwałtowną reakcję i samego Kaczyńskiego, i najradykalniejszych jego zwolenników – ale tak, aby nie było już możliwe przeciekanie do PiSu elektoratu centrolewicowego, do tej pory kuszonego dość skutecznie „nową twarzą Jarosława Kaczyńskiego”, a także aby przerwać umizgi PiSu i SLD, umożliwione sojuszem w mediach i uprzejmymi deklaracjami Kaczyń-

skiego w kampanii<sup>77</sup>. Całkiem niezłe wyniki kandydata SLD Grzegorza Napieralskiego – budującego swą pozycję m.in. na otwartym i radykalnym antyklerykalizmie – podpowiadały, że planowany gest powinien zasugerować opinii publicznej jakąś nutę pryncypialnej „obrony laickości państwa” przez prezydenta z PO<sup>78</sup>, zaś w PiS-ie wywołać niemożliwy do zaakceptowania przez wyborców lewicowych i liberalnych wzrost emocji „bogoojczyźnianych”.

Jak widać, jest to rekonstrukcja motywów, która nie potrzebuje tezy o gorącym zapateryzmie elit Platformy. Wystarczy jeśli pod uwagę weźmiemy rozpatrywane na zimno interesy partyjne, zaś z uczuć gorących – ewentualnie jedynie nienawiść do Kaczyńskiego. Są to dwa najbardziej prawdopodobne czynniki popychające do operacji skądinąd tak obrzydliwej jak prowokacja z przesuwaniem krzyża. W tle istnieje oczywiście jeszcze jeden warunek *sine qua non*: pewna doza indyferentyzmu, pozwalająca – nawet człowiekowi nie rezygnującemu z samopoczucia bycia osobiście dobrym katolikiem – uczestniczyć w budzeniu demonów sekularyzmu. W przypadku Bronisława Komorowskiego ta niezbędna doza indyferentyzmu czy relatywizmu jest możliwa dzięki głęboko uwewnętrznionemu przekonaniu o odrębności sfery działań politycznych względem osobistych przeświadczeń religijnych czy nawet moralnych.

Potrzeba było działania, które mając bijące po oczach pozory „prześladowania religijnego”, będzie tak naprawdę mocnym uderzeniem w nerw „mitu smoleńskiego” – tak, aby ból odczuwał się w samym rdzeniu osobowości Kaczyńskiego, a nie tylko w słucha-

się partią, na którą mogliby rozważyć zagłosowanie ci, którzy są raczej za niż przeciw zmianom obyczajowym, ale dla których te kwestie nie są pierwszoplanowe, a dla których Prawo i Sprawiedliwość mogłoby być atrakcyjne z innych przyczyn. Złagodzenie tożsamości PiS w kwestiach kulturowych wydaje się niezbędne nie tylko ze względu na wynik wyborczy. Także dlatego, że z punktu widzenia tej partii istotne wydaje się utrzymanie dopiero powstającej zdolności koalicyjnej z lewicą. PO również o tym wie. I rozważa zapewne scenariusz pozbawienia partii Kaczyńskiego tej zdolności” (P. Skwieceński, *PiS – skansen czy zmiana?*, „Rzeczpospolita”, 16.07.2010).

<sup>78</sup> W dniach rozbuchanego konfliktu na Krakowskim przyznawał to także redaktor lewicowej „Krytyki Politycznej”, skądinąd skrajnie rozczarowany rzekomo zbyt słabą obroną pryncypiów świeckości przez Komorowskiego: „Także główny winowajca w tym sporze, Bronisław Komorowski, może na dłuższą metę zbić na nim kapitał polityczny – jeśli tylko zdoła narzucić narrację i będzie postrzegany jako ostatni bastion obrony przed radiomaryjnymi radykałami i PiS” (Maciej Gdula, *O jeden krzyż za daleko*, „Rzeczpospolita”, 9.08.2010).

<sup>77</sup> Przypomnijmy sobie – pochodzące z połowy lipca, lecz brzmiące dzisiaj jak z jakiegoś innego świata – recepty Piotra Skwieceńskiego, zawierające zresztą czujną reakcję na prowokację krzyżową, a będące propozycją poprowadzenia PiSu do rywalizacji z PO o elektorat centrowy i lewicowy: „Zmiana ta polegać mogłaby na «zakończeniu wojny polsko-polskiej» w kontekście lewicy (w sensie deklaracji już się to stało, ale trzeba czasu, aby ta zmiana przestała szokować i utrwaliła się w świadomości) i na stopieniu ostrza pisowskiego tradycjonalizmu w sporach kulturowych. [...] Chodzi raczej o to, żeby PiS stało

czach Radia Maryja i w najpobożniejszych czytelnikach „Frondy” czy forum Rebelyi.

Jeśli nawet nie wszystko zostało precyzyjnie przemyślane i zaplanowane, zostało wykonane po mistrzowsku: ogłoszenie pomysłu właśnie w „Wyborczej”, nonszalanckie komentarze Grasia i Śledzińskiej-Katarasińskiej... Dalszych elementów prowokacji nie zabrakło – przypomnijmy tylko całą tę, powiedzmy, nieporadną nadreprezentację służb porządkowych wokół krzyża, stopy barierki itp.

Czy się udało? W znacznym stopniu – tak. Nie chodziło przecież o wywoływanie realnej wojny religijnej, dlatego po pierwszych, wspomnianych wyżej, wypowiedziach „strażnicy laickości” z PO nabrali wody w usta, a antyklerykalne akcje Palikota zaczęto powoli traktować jako folklor – wciąż pożyteczny dla partii, o ile utrzymany w dotychczasowych rozmiarach.

Z perspektywy PO główne cele akcji zostały osiągnięte: wywołano wrażenie, że „zapateryzm nadchodzi” (co dało satysfakcję antyklerykałom), faktycznie zaś – mocno, lecz pod stołem – uderzono w „trzewiowe” emocje posmoleńskich żałobników, z Jarosławem Kaczyńskim na czele. W trakcie tej akcji jej bonusem dla PO okazała się zaś możliwość „przykrywania” „lajfami” z powracających emocjonujących przepychanek rozmaitych co trudniejszych głosowań sejmowych lub decyzji rządowych.

Krzyż jako substytut pomnika

O paradoksie! Okazało się, że – przy całej wręcz okrutnej dotkliwości prowokacji krzyżowej dla Kaczyńskiego – okazała się ona, *per saldo*, wygodna dla jego nowych planów wizerunkowych: nazajutrz po efektownej przegranej prezes PiSu porzucił niemal od razu swój „nowy wizerunek”, tworzony mozolnie i uparcie przez sztab wyborczy nie bez jego własnego aktywnego udziału. Ta nagła i radykalna zmiana była jak ostry wiraż na serpentynie górskiej dla rozpędzonego konwoju ciężarówek mknących za przewodnikiem, a w każdym razie niesłychanie kosztowna prestiżowo: w pełni zrozumiały psychologicznie i moralnie, wybuch emocji, rozsadzający od wewnątrz woskową figurę niedawnego kandydata na prezydenta, oraz zafiksowanie na pociągnięciu do odpowiedzialności wszystkich możliwych sprawców katastrofy

smoleńskiej – to był jeszcze jeden, kolejny Kaczyński, i to żaden z poprzednio znanych!<sup>79</sup> Politykę „panowania nad sytuacją” miała zastąpić „polityka słusznego gniewu”, co w sumie oznacza zastępowanie polityki – moralizowaniem. Co prawda złoty róg ogólnonarodowego znaczenia Katastrofy nigdy nie został użyty przez Kaczyńskiego – teraz jednak można było zacząć używać jego wersji pomniejszonej do rzędu sygnałówki zwołującej własne środowisko polityczne<sup>80</sup>.

W tej nowej konfiguracji spraw nienegocjowalnych odkrycie, że Bronisław Komorowski to polski Zapatero, z którym nie trzeba utrzymywać żadnych relacji musiało przynosić ulgę innego usprawiedliwienia tego, że nie chce się podawać ręki autorowi powiedzenia „jaka wizyta, taki zamach”<sup>81</sup>. Zaś wejście w rolę patrona obrońców krzyża Chrystusowego jawiło się jako najprostszą drogą do jednego z najważniejszych odtąd aktów politycznych: monumentalnego upamiętnienia śp. Brata i innych „poległych”.

Jarosław Kaczyński został więc zwabiony na pole, na którym poczuł gorzką rozkosz bycia bezkompromisowym moralistą. Jak przekleństwo spadło na niego z obezwładniającą siłą pragnienie tego, co do tej pory w swoim postępowaniu potępiał jako fundamentalistyczny radykalizm. Zaczął się zachowywać tak jakby miał już dość polityki, albo uprawiał ją już tylko jako formę pomsty.

Jednak tak jak nigdy nie został hipisem, tak też jego posepny moralizm nie uczynił zeń bezkompromisowego świadka praw

<sup>79</sup> Trafnie i dosadnie streścił te przemiany Maciej Walaszczyk: „Tymczasem w ciągu ostatnich kilku lat zwolennik PiS był wciągany w przyjęcie kilku ról: po 2005 roku uczestnika krucjaty rewolucji moralnej z Lepperem i Giertychem, po wyborach 2007 roku: furiata nienawidzącego PO i rządu Tuska, potem merytokratty oczekującego wczasów w Egipcie dla wszystkich – wykluczonych i aspirujących do klasy średniej, następnie żałobnika reprezentującego moralną większość, nagle nieoczekiwanie zmienionego w pojednawczego hipisa prowadzącego politykę miłości, choć w środku kipiącego od emocji

rozbudzonych po katastrofie i w czasie brutalnej kampanii Komorowskiego, by ostatecznie stać się przywiązany do chrześcijańskiej symboliki kontestatorem całego porządku politycznego w państwie, czekającego na posadzenie czołówki liderów PO i ważnych urzędników państwowych na ławie oskarżenia” (M. Walaszczyk, *Polityka jak chłopięca bitwa na kamieniu*, notatka na facebooku, 14.11.2010).

<sup>80</sup> Tak naprawdę dopiero po przegranych wyborach Kaczyński zaczął na dobre realizować to, co kilka miesięcy wcześniej przewidywał Dorn: „Teraz mamy jednak katastrofę w tle i jeśli powiedzie się zamiar upartyjnienia przelanej krwi, to pojawi się nowy czynnik symboliczno-moralny, dzięki któremu ta partia przetrwa. Powstałoby zjawisko polityczne wielce ciekawe – hermetyczna konstrukcja polityczna, zamykająca w sobie około jednej czwartej aktywnych politycznie Polaków, trwająca jałowo w izolacji od reszty społeczeństwa i czekająca na swój czas” (*Kolejka za powagą*, „Tygodnik Powszechny”, nr 19, 9.05.2010).

<sup>81</sup> „Natomiast w żadnym razie nie podam mu [B. Komorowskiemu] ręki, tu ostatecznie zdecydowała sprawa krzyża. Mógł jedną decyzją doprowadzić do zakończenia awantur, profanacji, bicia i obrażania obrońców. Nie uczynił tego, a więc ostatecznie znalazł się w tej sferze, której ja nie uznaję” (*Chcę być premierem*, „Newsweek Polska”, 27.09.2010).

<sup>82</sup> „Kiedyś, w sierpniowy wieczór, celowo przez kilka godzin obserwowałem to, co się tam dzieje. Siedziałem w samochodzie, bo wolałem uniknąć objawów sympatii. Było wielu ludzi, ale nic niebezpiecznego się nie działo” (*Chcę być premierem*, „Newsweek Polska” 27.09.2010).

<sup>83</sup> „Ten krzyż to był przecież jakiś tam substytut pomnika ofiar katastrofy i takie jest nasze stanowisko” (J. Kaczyński w rozmowie z Michałem Karnowskim, PR 3, 17.09.2010).

<sup>84</sup> „Krzyż przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie został spontanicznie wzniesiony przez społeczeństwo jako pomnik wszystkich ofiar katastrofy smoleńskiej, w tym Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego i Jego Małżonki Marii. Z czasem stał się też symbolem niezwykłych dni narodowej żałoby, patriotycznego uniesienia, wielkiej wspólnoty w bólu i solidarności. W polskiej tradycji krzyż jest zarówno symbolem religijnym, jak i znakiem narodowej więzi oraz wartości drogi Polakom” (oświadczenie Komitetu Politycznego PiSu z 2.08.2010).

Bożych, nagle przebudzonego neofity cywilizacji życia albo energicznego bojownika na rzecz ładu chrześcijańskiego. Za to przybliżając się do gromady „obrońców krzyża”<sup>82</sup>, musiał poczuć z cudownym zaskoczeniem „żoliborszczyka” – być może z tym samym wrażeniem, jakie towarzyszyło mu już kiedyś przy odwiedzinach na pielgrzymkach Radia Maryja – że bojowy radykalizm dewocyjny tych pobożnych ludzi jest jak twardy futerał, który człowiek posiadający ich gorące zaufanie – jak obserwowany ojciec Tadeusz Rydzyk – może wypełniać różnorodną treścią, niekoniecznie wypisami z katechizmu i encyklik. Kiedyś tak daleki ich religijnym egzaltacjom, potem traktujący ich jako „radykałów” potrzebnych politycznie, lecz niezrozumiałych – obecnie poczuł, że może się w tłumek tych ludzi wmieszać – i że czuje się z tym lepiej niż z pozą wymuszoną nań niedawno przez sztab wyborczy.

Wyczuwając przychylny mu klimat, nie zamierzał jednak przekształcać do końca swojej własnej hierarchii wartości – i chyba nie musiał. Co prawda znane zdanie Jarosława Kaczyńskiego, że krzyż (z Krakowskiego Przedmieścia) jest tylko „substytutem” pomnika ofiar katastrofy smoleńskiej<sup>83</sup>, mogło być mocno dotkliwie dla tych, którzy – także pod wpływem wcześniejszych ostrzeżeń prezesa PiSu przed zapateryzmem w wykonaniu Bronisława Komorowskiego – uznali, że chodzi o konflikt *sensu stricto* religijny. A jednak nawet ten akcent nie wywołał jakiegos głośnego sprzeciwu lub potrzeby korekty ze strony ludzi zwołanych sprzeciwem wobec „zapateryzmu”.

Trzeba uczciwie powiedzieć, że pojmowanie krzyża jako substytutu pomnika było obecne w wypowiedziach PiSu od początku konfliktu: w oficjalnym oświadczeniu partii krzyż sprzed Pałacu Prezydenckiego definiowano już na początku sierpnia jako „pomnik ofiar” oraz „symbol żałoby i patriotycznego uniesienia”, sens religijny ustawiając jako wątek poboczny<sup>84</sup>.

Co więcej – jeśli wierzyć oświadczeniom wydanym już w atmosferze konfliktu przez przedstawicieli środowisk harcerskich, które krzyż przed Pałac przyniosły i tam ustawiły w dniach potężnych zgromadzeń żałobnych na Krakowskim Przedmieściu – trakto-



wanie krzyża jako substytutu było swoistym grzechem pierwodnym tego aktu: sami harcerze rzekomo traktowali krzyż jako znak, który ma być zastąpiony jakimś symbolem „idei budowy pomnika”<sup>85</sup>.

Substituowanie krzyża dla wzmocnienia ruchu na rzecz „upamiętnienia katastrofy” – w którym chodzi o stawianie w całym kraju pomników Lecha Kaczyńskiego<sup>86</sup> – oznacza wyraźną laicyzację i temporalizację znaku religijnego. Wbrew tradycji polskiego chrześcijaństwa nie mówi się o funkcji krzyża przydrożnego czy wotywnego: zamiast tworzyć powód do modlitwy, krzyż na Krakowskim zostaje sprowadzony do funkcji oznaczania i zajmowania miejsca przeznaczonego ostatecznie pod świecki monument (który z oczywistych względów nie będzie też mogiłą).

Używam tu słowa „substytucja” nie tylko dlatego, że jest ono pochodne od użytego przez Jarosława Kaczyńskiego słowa „substytut”, ale i dlatego, że w języku psychologii oznacza ono mechanizm, z którym zapewne mamy tu do czynienia: substytucja to zastępowanie czegoś cenniejszego, lecz trudniej osiągalnego, czymś mniej wartościowym, lecz łatwiej dostępnym.

Dla naszej analizy ważne jest odróżnienie substytucji, w której chodzi jedynie o kompromis wewnątrz tej samej formy, bez zmiany istoty: wtedy skromny krzyż wyryty na tablicy pamiątkowej jest substytutem widocznego z daleka krzyża monumentalnego (w tym sensie również krzyż wystawiony na Placu Piłsudskiego jest, z racji usytuowania i rozmiarów, substytutem krzyża papieskiego znanego nam ze Mszy odprawianych na Placu, tak jak kiedyś jego substytutem, z innych powodów, był „krzyż kwietny”<sup>87</sup>). Czym innym jednak jest potraktowanie krzyża Chrystusa jako substytutu pomnika ofiar katastrofy: w tym wypadku substytucja oznacza posłużenie się znakiem z istoty religijnym,

o Nim zakończy się klęską” (J. Kaczyński w wywiadzie dla portalu pis.org.pl, 6.08.2010).

<sup>87</sup> Wydaje się tu na miejscu przypomnienie, że śp. Lech Kaczyński jako prezydent Warszawy obiecał upamiętnienie Sługi Bożego Jana Pawła II przez ustawienie na Placu Piłsudskiego słynnego krzyża papieskiego – obietnicy tej jednak nie dotrzymał, a dopóki władzę nad Warszawą sprawował on sam lub któryś z PiSowskich komisarzy, starano się zastąpić krzyż jakimś innym pomnikiem (wybór padł na kolumnadę...). Krzyż, pomniejszony względem oryginału oraz przesunięty poza centrum placu, został wystawiony dopiero za prezydentury Hanny Gronkiewicz-Walczak w czerwcu 2009.

<sup>85</sup> „Nigdy nie zakładaliśmy, że nasz krzyż ma zostać tam (przed Pałacem Prezydenckim) na zawsze, bo nie taka jest jego «misja». Ustawiony drewniany krzyż od samego początku miał docelowo zostać zastąpiony innym znakiem symbolizującym łączącą nas ideę budowy pomnika. Obecnie jesteśmy w trakcie ustaleń, jak ten nowy znak może wyglądać” – podkreśla pfm. Piotr Trąbiński ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej” (PAP, 12.07.2010).

<sup>86</sup> „Jestem przekonany, że pamięć o Lechu Kaczyńskim się przebije, i że zostanie On należycie uczczony nie tylko w Warszawie, ale i w całym kraju – zresztą pierwsze jego pomniki już powstają – i że walka z pamięcią

choć zawierającym w sobie także przygodnie funkcję upamiętnienia osób i wydarzeń, do uzyskania czegoś, co sprowadza się do ludzkiego „uwiecznienia”, nie mając już charakteru sakralnego w znaczeniu chrześcijańskim.

Tak więc w substytucji zdefiniowanej przez prezesa Kaczyńskiego zaproponowane zostało nam nie tylko rozluźnienie więzi między materią krzyża i jego religijną treścią, ale przede wszystkim coś w rodzaju desakralizującej zmiany hierarchii wartości: to, co z istoty wyższe, bogatsze i świętsze, zostało użyte jako „substytut” tego, co – chociaż godne i zrozumiałe – jest w zestawieniu z tamtym niższe, uboższe i wyłącznie ludzkie.

Te obce względem *sensus catholicus* przesunięcia nie budziły rzecz jasna entuzjazmu co bardziej świadomych katolików – co być może przekładało się z kolei na pewną fundamentalizację języka „obrony krzyża”, mającą ratować przed taką substytucją czystość i prostotę intencji tych, którzy zaangażowali się w sprawę bardziej z powodu krzyża, niż pomnika. Nie zmienia to faktu, że substytucja w stylu podziwianego i oklaskiwanego Jarosława Kaczyńskiego stała się łatwo dostępną trucizną zatruwającą ducha „obrońców krzyża”, ufających mu bardziej niż swoim biskupom.

W obecnej rekonstrukcji ośmielał się postawić tezę, że ten wyjątkowy posłuch u „obrońców krzyża” – nie tylko z Krakowskiego Przedmieścia, lecz z całej Polski – Kaczyński zawdzięczał nie zbieżności najgłębszych przekonań, lecz *sposobowi* zaprezentowania poglądów możliwie najbliższych spośród różnych poglądów Prezesa (trochę jak, *toutes proportions gardées*, prof. Wolniewicz – w istocie mający przekonania często mocno odbiegające od stanowiska katolickiego, lecz aplaudowany gorliwie w Radiu Maryja za śmiałe demaskowanie nicości intelektualnej krytyków Anteny). Dla części katolików „radiomaryjnych” prezes PiSu wszedł bezszelestnie w miejsce Ojca Dyrektora (co jest naturalną konsekwencją praktycznego zwasalizowania tego ostatniego przez Kaczyńskiego w 2007). Ojciec Rydzik już przecież nauczył swoich słuchaczy, że kontynuowanie poszukiwań geotermalnych dzięki jednemu ministrowi z rządu PiSu i otwieranie nowych specjalizacji w Wyższej Szkole Medialnej dzięki innemu ministrowi z rządu PiSu może być w hierarchii bezkompromisowego radia katolickiego wartością wyższą niż wymaganie od dygnitarzy PiSu

odpowiedzi dlaczego torpedują inicjatywy na rzecz cywilizacji życia. Było to dobre przygotowanie do przyjęcia – byle z cenniego źródła – zdania, że w walce o krzyż chodzi tak naprawdę o pomnik...

Czy wyżej zanalizowany przypadek substytucji jest jedyną sytuacją, w której autorytet Kaczyńskiego miesza skutecznie w hierarchii wartości katolików? Kilka lat temu opisywałem mechanizm moralnych „transakcji korupcyjnych”, którymi prezes PiSu wiązał ze sobą i podporządkowywał sobie kolejne sektory katolickich „jastrzębi”<sup>88</sup>. Dzisiaj, po katastrofie smoleńskiej, to uwierające uzależnienie stało się dla wielu słodką podległością względem kogoś w rodzaju Cierpiącego Sługi Polski: już nie tylko „inaczej się nie da”, lecz często – „inaczej nie wolno”! Nie trzeba tłumaczyć, że jest to stan głębszego uzależnienia.

Przerażający samograj: uliczne gry wcieleniowe

Istnieje więc cienka czerwona linia między postawieniem drewnianego krzyża w chwili narodowej żałoby i w miejscu republikańskiej *agory* – co niezależnie od jakichkolwiek motywów było absolutnie naturalnym gestem chrześcijańskiej reakcji na wielkość dziejącej się historii, uznaniem, że w tej chwili i miejscu Bóg jest blisko – a postępowaniem przywódcy politycznego, sprowadzającego ten krzyż do promesy pomnikowego upamiętnienia owej chwili i oznaczenia tegoż miejsca. Inaczej mówiąc: wniesienie krzyża na miejsce zgromadzenia narodowego to nadanie temu zgromadzeniu innego sensu – lecz uznanie, że krzyż jest jedynie substytutem znaku narodowej pamięci, to wykroczenie przeciw temu właściwemu sensowi krzyża oraz podmiana sensu, który dotąd współtworzył tamto zgromadzenie.

Tej czerwonej linii nie dostrzegła Jadwiga Staniszkis, gdy komentując spór o krzyż wdała się w pogłębiające interpretacje, z pomocą odróżnienia nominalistycznego i nie-nominalistycz-

ofert korupcyjnych. Rzecz jasna chodzi tu przede wszystkim o korupcję moralną: obecnych w swoim obozie «fundamentalistów» próbuje kupić – jednych mirażami powodzenia, innych jego akcesoriami, jeszcze innych samopoczuciem uczestnictwa w «wielkiej sprawie» – albo zneutralizować przez przymuszenie do lojalności na warunkach bezwzględnej kapitulacji «w sytuacji zagrożenia państwa» (P. Milcarek, *Co się dzieje w Polsce?*, „Christianitas” nr 33 (2007), 8).

<sup>88</sup> „Z jednej strony nie poskąpi religijno-patriotycznych emocji, z drugiej strony gotów jest udzielić prestiżu i wsparcia w inwestycjach – i tylko nigdy nie dopuścił do tego, aby choćby podstawowe postulaty *cywilizacji życia* – związane z prawem do życia i prawami rodziny – uzyskały pod jego rządami moc politycznego spełnienia. Starania o to piętnuje jako «fundamentalizm». Kaczyński [...] prowadzi obecnie w stosunku do opinii katolickiej osobliwą politykę

<sup>89</sup> „Sytuacja ta daleko wykracza poza ramy wydarzenia politycznego. Moim zdaniem ważniejsze są tu elementy pełzającej i powierzchownej, spóźnionej rewolucji nominalistycznej z desubstancjalizacją krzyża traktowanego, nawet przez część kleru, już wyłącznie jako znak, nabierający znaczenia przez kontekst (charakter przestrzeni w której funkcjonuje). Wprowadza to nie tylko moment autonomii formy (zrywający z realistycznym związkiem esencji i formy) ale i ostry podział przestrzeni. Tak właśnie na Zachodzie zaczynała się reformacja. W tej

sytuacji obecny podział społeczeństwa wyraża moim zdaniem nie tyle konflikt wartości na tej samej płaszczyźnie, ale odmienne przeżywanie idei porządku, inne uzasadnianie tych samych wartości, a nawet odmienną koncepcję osoby ludzkiej, jej praw i zobowiązań” (z fragmentu referatu J. Staniszkis *Epistemologia porządku, czyli studium rozpadu*, wygłoszonego na XIV Ogólnopolskim Zjeździe Socjologicznym w Krakowie, za: [pressje.org.pl](http://pressje.org.pl), 16.09.2010).

<sup>90</sup> „To jest model, w którym istnieją dwa segmenty społeczeństwa nie mogące się ze sobą porozumieć. I żyjące w dwóch czasach historycznych. Jedni w czasach realizmu tomistycznego, z potrzebą godności, sprawiedliwości. Nawet krzyż, gdziekolwiek by stał, ma dla nich swój głęboki sens. [...] Ci [drudzy] żyją w warstwie powierzchownej, uznając, że krzyż w przestrzeni publicznej nic nie znaczy. Może znaczyć tylko we własnej, prywatnej przestrzeni. Albo w ogóle są zeświecczeni. Popadli w bylejakość i uważają, że wszystko jest żartem” („Rzeczpospolita”, 6-7.11.2010).

<sup>91</sup> Oto wyjątek z tego, niewątpliwie zaprawionego poczuciem wyższości objaśnienia sytuacji, skierowanego retorycznie do obrońców krzyża: „Problemem Warszawy przez dziesięciolecia był brak jasno zdefiniowanego centrum [...]. To już nieaktualne. Doczekaliśmy się odpowiednika zachodnioeuropejskich bulwarów, które nigdy nie idą spać, bo ostatni balangowicze mijają się na chodniku z ludźmi śpieszącymi do pracy. Próbuje się modlić w miejscu, którym przez całą noc ludzie wędrują między Przekąskami, Powiśle a Lemonem. Z biforki na afterkę, z domówki do klubu. Chcielibyście, żeby policja was chroniła przed pijanymi – ale to oni są na tej ulicy u siebie, nie Wy. Sensem

nego sposobu przeżywania „idei porządku”<sup>89</sup>. Koncentrując się na sporze między kancelarią prezydencką i „obrońcami krzyża”, pani profesor zdawała się nie zauważać, że sygnalizowana przez nią „desubstancjalizacja krzyża” obecna jest w formie bardziej radykalnej w substytucji podpowiadanej przez Kaczyńskiego niż w przeniesieniu krzyża do kościoła – choć to ten ostatni zabieg łatwiej było napiętnować przy pomocy etykietek sprowadzanych z innej epoki i z innych krajów.

Z pewnego oddalenia czasowego Staniszkis podsumowywała konfrontację na Krakowskim Przedmieściu jako ujawnienie się konfliktu dwóch zupełnie różnych społeczeństw: tomistycznego i nominalistycznego<sup>90</sup>, który zwykle kończy się „wojną domową albo rozpadem”, gdyż „nie ma żadnego poziomu wspólnego, który by obie strony respektowały”.

Wątek ujawnienia się w samym centrum Warszawki, przy krzyżu na Krakowskim Przedmieściu reprezentacji społeczeństwa „przednowoczesnego” pojawiał się zarówno u jego inteligenckich admiraatorów z Rebeli, jak i prześmiewczych krytyków w stylu Wojciecha Orlińskiego. Ten ostatni – nie bez złośliwej kpiny, ale i nie bez racji – perorował na swym blogu, że do rozpalenia gorącego konfliktu wystarczyło już samo ustawienie „przednowoczesnych” na szlaku nocnych pijackich wędrówek „nowoczesnych”<sup>91</sup>.

Uruchomiony „syndrom Świtonia” dawał efekt nieustannego otoczenia krzyża przez „szaleńców wiary”, dość nielicznych i zjawiskowych, lecz – może z wyjątkiem zauważonego w tej grupie prowokatora esbeckiego – bardzo autentycznych w swej „przednowoczesności”. Topografia i letnia pora roku wystawiły ich na nieustanny przepływ wielkomiejskich nomadów, singli i singielek czy parek i watah, krążących w poszukiwaniu imprezki, zanim trzeba będzie wrócić znowu do biura, do robienia pizzy, do słuchania muzy, do nudzenia się, do siedzenia w necie...

Proscenium było już gotowe, role czekały do odegrania, kamery były gotowe do powiększania na całą Polskę grymasów twarzy i westchnień – lecz prawdziwa akcja mogła się zacząć dopiero od jakiegoś zapłonu.

Stało się nim wykonane przez „obrońców krzyża” uniemożliwienie przeniesienia krzyża przez księży do kościoła św. Anny, w dniu 3 sierpnia. W tym dniu – w dramatycznym akcie antyhierarchicznym „przednowoczesnych”: odmowie posłuszeństwa księżom przybyłym w imieniu Arcybiskupa Warszawskiego, w strojach liturgicznych, dla poprowadzenia procesji – doszło do spektakularnego połączenia form ludowego sprzeciwu, przećwiczonych w ramach radiomaryjnej obrony abp. Stanisława Wielgusa w katedrze w 2007, z delegitymizacją hierarchii kościelnej sięgającą po podejrzenie lustracyjne (tym razem jednak podpowiadające zależność biskupów od WSI *via* PO...).

I tak to „przednowocześni” stali się w oczach „nowoczesnych” zadymiarzami i happenerami jak inni. Odmawiając swojemu biskupowi decyzji w sprawie usytuowania krzyża oraz stawiając opór księżom, „obrońcy krzyża” zachowali się jak nadmierne podniecone walką egzorcysta, który zaczyna się czuć sam natchnionym podmiotem w zmaganiu z demonem, zapominając, że tym podmiotem jest tylko jako sługa Kościoła. I za chwilę zostaje rzeczywiście sam, oko w oko z demonami...

Odtańd na Krakowskim Przedmieściu na długo zakrólowała mgła demonicznej maskarady, do której wciągnięci zostali w różny sposób ludzie podli i ludzie szlachetni. Dzięki prowokacji, która sprowadziła przed Pałac ludzi zaalarmowanych wizją „usunięcia krzyża”, powstał samograj ulicznej przepychanki: można rzec, kultowe miejsce stolicy, w którym jedni młodzi ludzie mogli

remontu tej ulicy – rozpoczętego jeszcze przez Waszego umiłowanego prezydenta – było zrobienie z niej takiego tętniącego życiem zakątka życia knajpianego [...]. I to się udało. [...] Jeśli chcecie uczcić dokonania Lecha Kaczyńskiego, to uszanujcie zatwierdzoną przez niego wizję Traktu Królewskiego” (W. Orliński, *Zapateryzacja ruszyła!*, wo.blox.pl, 10.08.2010).

<sup>92</sup> Oto próbka relacji jednej z osób, która przysłała pod krzyż pierwszego wieczora po „odparciu księży” 3 sierpnia, pod wrażeniem obejrzanych w mediach komentarzy ostrzegających przed fanatyzmem religijnym: „Z nadejściem zmroku, z okolicznych piwiarni, na Krakowskie Przedmieście przychodzą wilki, ponabijają się z moherów. Była ich tak na oko setka, trzykrotnie więcej niż osób broniących Krzyża. [...] Trzy czwarte kontrmanifestantów to pijani dresiarze, przekonujący że pomimo promili we krwi jeszcze trzeźwo myślą. Są również ponabijani ćwiekami metale, farbowane, tlenione na blond dziewczyny wyrywające starszym ludziom parasole i kilku regularnych meneli w wieku

40-50 lat, robiących furorę mistrzów egzekucji. W zębach demonstracyjnie palone papierosy, w rękach «zimna Tatra», na ustach okrzyki «jeszcze jeden» ; «druga strona odpowiada», «wyrwać krzyż», profanowanie hymnu państwowego o modlitwach nie wspominając, eksplozje śmiechu. Nie jest prawdą, że nie ma z nami księży. Przyjechali z jakiejś podwarszawskiej miejscowości, której nazwę zapomniałem i z kościoła św. Krzyża pobłogosławić «rycerzy Chrystusa» wśród gwizdów. Cały czas trwa modlitwa, rodzice, co być może zobaczycie w telewizji przyprowadzili trójkę dzieci by nam zaśpiewały piosenki z Powstania Warszawskiego. Nowy dzień przywitaliśmy pieśnią «Oto jest dzień, który dał nam Pan»” (Jarema, *Noc pod Krzyżem*, blog „Errata do...” na fronda.pl, 9.08.2010).

na pijackim luzie odreagowywać swe antyklerykalne kompleksy, chuliganiąc sobie w transgresyjnym przebraniu jakichś „szatanistów” – podczas gdy inni, młodzi i niemłodzi, dotknięci tym głęboko i zmobilizowani dramatycznymi wezwaniem, wręcz odruchowo odtwarzali bądź sceny z PRLu, bądź swe wyobrażenia o „bohaterskiej obronie krzyża”.

Oczywiście tamte wypadki nie dadzą się sprowadzić do teatralnych póż i układania żywych obrazów. Tak jak po jednej stronie byli ludzie cały czas zachowujący czystość i prostotę „stania pod krzyżem”, tak po drugiej stronie pojawiały się grymasy autentycznej nienawiści antyreligijnej i żądzy profanacji, co z kolei wywoływało odruchy godne najszlachetniejszych krzyżowców...<sup>92</sup> Niemniej nie należy zbyt łatwo popadać w uproszczenia i ogłaszać zaistnienie gorącej wojny religijnej tam, gdzie nie tylko „obrona krzyża”, ale i „obrona świeckości” mogła być tylko „substytutem”.

Wśród tych, którzy zdają sobie sprawę także z tego ostatniego, istnieje jednak być może nadzieja, że to walka wzmacnia tożsamości, a przebudzona w walce „o krzyż” katolicka asertywność posłuży renesansowi republikańskiej prawicy. W tym myśleniu daje oczywiście o sobie znać pewna instrumentalizacja religii, lecz równocześnie skrajnie krótkoterminowy rachunek zysków ogólnych. W odróżnieniu od sporu w debacie, konflikt społeczny rzadko służy i religii, i społeczeństwu – dlatego, o ile mamy na to wpływ, powinno się do niego dopuszczać jedynie przy spełnieniu warunków analogicznych do tych, jakie wyczerpują pojęcie wojny sprawiedliwej. Oznacza to, że o ile powstające konflikty należy traktować jako okazję do przedstawiania i propagowania racji sprawiedliwości, to zasadniczo trzeba bardziej sprzyjać pokojowi niż konfliktowi.



W związku z sytuacją „obrony krzyża” na uwagę zasługuje odnawiająca się przy takich okazjach prawicowa wersja ludomanii oraz wyrażane przez podekscytowanych inteligentów zaktualizowane przekonanie o zbawieniu przez lud – odbiegające od realizmu społecznego i kulturowego. Tymczasem jeśli nawet byłoby prawdą to, że w najbliższej okolicy krzyża na Krakowskim Przedmieściu w szczególnym natężeniu wystąpiła „przednowoczesność” trwale kontradyktoryjna względem „nowoczesności” – trzeba pamiętać, że inteligenckie powroty do „przednowoczesności” rzadko oznaczają *retour au réel*, faktyczny „powrót do bytu” – natomiast zbyt często oznaczają ucieczkę przed własną odpowiedzialnością. To, co u ludzi prostszych będzie naturalne z racji ich ateistyczności, to u ludzi dotkniętych już – nie na nieszczęście – problematyzującym wykształceniem może być tylko przejawem pogardy dla otrzymanych darów.

Biskupi „nie konsultujący swych decyzji z narodem” W swojej historii, także tej najnowszej, Polacy niejednemu raz stawiali krzyż w miejscu wykraczającym poza obszar świątyni. Niektóre z tych krzyży miały od początku także funkcję upamiętnienia dramatycznych wydarzeń narodowych: i tak np. drewniany krzyż ustawiony w sierpniu’80 przed bramą Stoczni Gdańskiej „rozzrół się” w ciągu paru miesięcy do monumentalnych Trzech Krzyży – na upamiętnienie stoczniowców poległych od kul w grudniu’70.

W ówczesnym klimacie nikt poza radykalnymi komunistami – dziedzicami tych, którzy strzelali i „stali tam, gdzie ZOMO” – nie widział w tym trudności. Również obecnie – poza dość sklerotycznym uporem konserwatorów – nie widać racjonalnych przeszkód, aby upamiętnienie ofiar katastrofy smoleńskiej i żałoby narodowej nie mogło zmieścić się w formie krzyża, stojącego przed Pałacem Prezydenckim. Pewna odczuwalna małoduszność ludzi aktualnego obozu władzy – w tym i zwycięskiego Bronisława Komorowskiego – sprawiła, że sprawa ta stawała się coraz bardziej kontrowersyjna i że poddano ją szkodliwej teatralizacji, korzystając przy tym z łamów „Gazety Wyborczej”.

W sytuacji gdy w sposób już zupełnie jawny to kontrowersja polityczna między PO i PiSem stała się przeszkodą w pozostawieniu przed Pałacem krzyża narodowej pamięci, biskupi polscy zdecydowali

<sup>93</sup> „Dziękujemy wszystkim ludziom dobrej woli za przejawy szacunku wobec znaków krzyża, gdziekolwiek byłyby ustawiane, ale jednocześnie apelujemy do wszystkich, którym drogi jest ten święty znak zbawienia i którym leży na sercu dobro Ojczyzny, o natychmiastowe zaprzestanie gorszących sporów. Znak krzyża nie może być środkiem do osiągnięcia najślusniejszych nawet celów drugorzędnych. Apelujemy więc do polityków, aby krzyż przestał być traktowany jako narzędzie w sporze politycznym.

Krzyż nie może być «zakładnikiem» w słusznej sprawie upamiętnienia miejsca modlitwy Polaków oraz wszystkich ofiar smoleńskiej katastrofy” (oświadczenie Prezydium KEP i Metropolity Warszawskiego, 13.08.2010, 2).

<sup>94</sup> „Neutralności [władz publicznych] nie należy rozumieć jako agresywnego laicyzmu. [...] Wolność religijna nie oznacza wolności od religii, ale wolność jej wyznawania także w sferze publicznej” (tamże, 3). Należałoby jednak z pewnym zdziwieniem powitać użycie w tym kontekście pojęcia „neutralności” oraz oparcia całego rozumowania jedynie na art. 25 Konstytucji RP – brzmi to tak, jakby biskupi zrezygnowali w tym miejscu z używania swojego własnego języka.

<sup>95</sup> „Dziś, gdy w Europie toczy się walka o miejsce symboli chrześcijańskich w przestrzeni publicznej, podtrzymywanie konfliktu wokół krzyża szkodzi sprawie jego obrony podejmowanej przez liczne środowiska w Europie, w tym także rządy i parlamenty wielu państw. Oczekujemy, że także Rząd Rzeczypospolitej włączy się czynnie w proces zagwarantowania obecności chrześcijańskich symboli w publicznych przestrzeniach nowej Europy” (tamże, 3).

<sup>96</sup> Pamiętajmy, że w tej sprawie wielokrotnie głos zabierał, i to od samego początku sporu o krzyż przed Pałacem, Marek Jurek. „Od PiS zresztą czekamy na dowód wiarygodności w postaci podjęcia rzeczywistych działań na rzecz zaangażowania Polski w sprawę obrony krzyży w Trybunale Strasburskim” (M. Jurek, *Dlaczego bronię krzyża na Krakowskim Przedmieściu*, blog.marekjurek.pl, 13.07.2010). W wydanym 17.08, kilka dni po oświadczeniu biskupów, apelu Prawicy Rzeczypospolitej czytamy: „Obrona krzyża przed Trybunałem Strasburskim, który wielokrotnie podważał polskie ustawodawstwo chroniące ład moralny, stanowi test wiarygodności polskich polityków. Jeśli PO nie jest przeciw krzyżowi – niech rząd broni go na forum ETPC, jeśli PiS naprawdę, nie instrumentalnie, jest za krzyżem – niech domaga się jego obrony od rządu, wobec którego jest w opozycji”.

wali się na przerwanie milczenia, wyjście z roli wielkiego nieobecnego i obronę sakralności krzyża przed jakąkolwiek substytucją.

W oświadczeniu Prezydium Konferencji Episkopatu Polski i Metropolity Warszawskiego z 12 sierpnia powiedziano wszystko, co było niezbędne do zrozumienia sporu o krzyż z perspektywy wierzącego chrześcijanina, nie przestającego być równocześnie polskim patriotą. W kluczowym fragmencie dokumentu czytamy wyraźny protest przeciw instrumentalizacji krzyża, czyli przeciw używaniu „świętego znaku zbawienia” do „osiągania najślusniejszych nawet celów drugorzędnych”<sup>93</sup>. Opowiadając się równocześnie i za godnym upamiętnieniem 10 Kwietnia, i za przeniesieniem krzyża do kościoła św. Anny, biskupi wyraźnie wykluczyli taką interpretację swego ustępstwa, która dopuszczałaby zgodę na rozszerzenia sekularystów<sup>94</sup>.

W oświadczeniu biskupi wskazywali współzależność postaw między sporem o krzyż na Krakowskim Przedmieściu z toczącym się w Europie sporem o obecność krzyża, w tym w sądowym sporze o obecność krzyży w salach szkolnych – który toczy się bez udziału Polski<sup>95</sup> – był to jedyny lub raczej jeden z niewielu takich głosów<sup>96</sup>.

Apel ten został jednak zignorowany – zarówno przez liberałów z PO, jak i przez patriotów z PiSu. W przypadku PO współgrało to z podtrzymywaniem przez tę partię wizerunkiem stronnictwa liberalnego, hołubiącego w owym czasie działaczy takich jak Janusz Palikot. Natomiast w przypadku PiSu brak realnej akcji na rzecz przymuszenia rządu do włączenia się do europejskiego zespołu obrońców krzyża stawia pod znakiem zapytania szczerść elit tego środowiska politycznego w jego gromkim zaangażowaniu w „obronę krzyża” przeciw „zapateryzmowi”.

Wracając do interwencji biskupów, trzeba sobie zdać sprawę, że to równocześnie wyraziste i zrównoważone oświadczenie – wsparte następnie przez Radę Biskupów Diecezjalnych<sup>97</sup> – zostało wydane 12 sierpnia. I nie sposób nie dodać: dopiero! Od „czarnego wtorku”, kiedy „obroncy krzyża” zignorowali decyzję swego biskupa i znieważyli przybyłych księży, minęło długie dziesięć dni. W tym czasie jedyną reakcją kościelną, lecz tylko pośrednią, były słowa wypowiedziane przez abp. Kazimierza Nycza przy okazji wyjścia pielgrzymek częstochowskich 5<sup>98</sup> i 6<sup>99</sup> sierpnia – gdy

<sup>97</sup> „W tym kontekście biskupi podtrzymują treść oświadczenia Prezydium Episkopatu z dnia 12 sierpnia 2010 roku. Proszą też, by w sporze politycznym, którego «zakładnikiem» stał się krzyż, oddzielić sprawę samego krzyża od słusznego postulatu upamiętnienia wszystkich ofiar smoleńskiej katastrofy godnym pomnikiem. Dlatego biskupi apelują do Prezydenta Rzeczypospolitej, Marszałków Sejmu i Senatu, Premiera Rządu, Pani

Prezydent Warszawy oraz Przewodniczących partii politycznych koalicyjnych i opozycyjnych o powołanie Komitetu i powierzenie mu sprawy miejsca i formy upamiętnienia w Warszawie ofiar katastrofy smoleńskiej” (komunikat z sesji Rady Biskupów Diecezjalnych na Jasnej Górze, 25.08.2010).

<sup>98</sup> „Zwracając się do uczestników 30. Akademickiej Pielgrzymki Metropolitarnej duchowny podkreślił, że krzyż ma prawo być obecny w życiu publicznym. Wyjaśnił, że wynika to między innymi z tego, że cywilizacja europejska, z której wszyscy wyrastamy, ma korzenie w chrześcijaństwie. – Nie wolno używać krzyża do tego, by dzielić ludzi. Nie wolno używać krzyża do tego, by w jakimś sensie wyznaczać przestrzenie i tereny «to jest moje, a to nie jest moje». Nie wolno wreszcie używać krzyża do tego, by w jakimś sensie swoje ludzkie, nieraz pokrętne cele, osiągać przy pomocy Chrystusowego Krzyża. Jak dodał hierarcha, byłoby to «wielką instrumentalizacją tego świętego znaku, na którym Chrystus zawisł, by złożyć ofiarę za nas i za nasze grzechy». Jednocześnie metropolita warszawski podkreślił, że krzyż ma prawo być obecny nie tylko w sferze prywatnej życia człowieka, m.in. dlatego, że «religijności człowieka nie da się zamknąć». – Człowiek religijny, a więc związany z Bogiem, jest związany wtedy, kiedy żyje w rodzinie, ale także wtedy, kiedy uczestniczy w życiu społecznym i ma prawo do tego, by towarzyszył mu ten święty znak, jakim jest krzyż – podkreślał duchowny” („Nie wolno używać krzyża do tego, by dzielić ludzi”, PAP, 5.08.2010).

<sup>99</sup> „Do pielgrzymów apelował, by modlili się za tych, którzy zginęli, za ich następców oraz rodziny wszystkich 96 ofiar. – Módlcie się także o to, by to wydarzenie zostało zapisane w historii Polski jako wydarzenie, z którego czegoś się nauczyliśmy i żeby w pamięci naszego pokolenia, które tę tragedię przeżyło zostało zapisane ku pouczeniu i ku mądrości wszystkich Polaków – powiedział. Metropolita apelował także, by szukając sposobów upamiętnienia tamtej tragedii, czynić to w taki sposób, aby nie ucierpiał na tym żaden człowiek ani «żaden święty znak z krzyżem

na czele». – Krzyż musi łączyć, musi być znakiem miłości, ofiary, poświęcenia, znakiem zbawienia i drogą do zmartwychwstania.

Każde inne, instrumentalne użycie krzyża byłoby jego znieważaniem – ocenił”

(*Abp Nycz: krzyż musi być znakiem miłości, wiadomości.onet.pl, 6.08.2010.*)

<sup>100</sup> Przy okazji prezentowania

oświadczenia abp Nycz wyjaśniał: „Nie wyobrażam sobie, by ten krzyż, który tam stoi, miał być zabierany siłą. Te emocje muszą jednak opaść.

Wierzę głęboko, że to się dokona i stanie w sposób godny krzyża i naszej chrześcijańskiej tradycji”

(*Abp Nycz: krzyż nie będzie zakładnikiem, radiozet.pl, 12.08.2010.*)

<sup>101</sup> „Nie jest spełniona wola narodu. Na krzyżu widnieje od czterech miesięcy tabliczka informująca, że ten krzyż to apel o pomnik w tym miejscu – wtrąciła pani Joanna, znana z przywiązania się do krzyża podczas próby jego przeniesienia. – Jeden ksiądz arcybiskup nie stanowi Kościoła. Bardzo nam przykro, że ksiądz arcybiskup dał się wciągnąć na pewne pole, do którego nie zostały zaproszone osoby zainteresowane. Ani jedna osoba z rodziny pana Lecha Kaczyńskiego nie była tutaj zaproszona – zaznaczyła” (*„Obrońcy krzyża”: Po krzyż powinni przyjść arcybiskupi, a nie zwykły księżyna!, tokfm.pl, 12.08.2010.*)

<sup>102</sup> „W Warszawie natomiast chodzi o postawienie pomnika narodowego, dlatego że tragedia była narodowa. I od tego nie uciekniemy. Przedłużanie decyzji w tej sprawie prowadzi do frustracji narodu” (*Od budowy pomnika nie uciekniemy, „Rzeczpospolita”, 18.08.2010.*)

<sup>103</sup> „To jest totalna pomyłka. Po co [biskupi] się tym zajmują? Co biskupów obchodzi stawianie pomników? Przecież to jest apel o postawienie pomnika. [...] Niech się biskupi zajmą sprawami wiary i moralności. [...] Grzech pierworodny polega na upolitycznieniu episkopatu. [...] Większość jest zadytmiona PiS-em” (*Co biskupów obchodzi stawianie pomników, „Rzeczpospolita”, 1.09.2010.*)

równocześnie upominał się o właściwe upamiętnienie katastrofy smoleńskiej i przypominał, że nie może się to odbywać kosztem instrumentalizacji i znieważenia krzyża. Jednak bezpośrednio wezwanie do „obrońców krzyża” nastąpiło dopiero w cytowanym oświadczeniu z 12 sierpnia<sup>100</sup>. Wtedy również Metropolita Warszawski skrytykował decyzję władz miasta o zgodzie na późnowieczorną manifestację-happening przeciwników zachowania krzyża przed Pałacem dwa dni wcześniej.

Przez te wszystkie dni wypowiedzi biskupów funkcjonowały w mediach na równych prawach z mnóstwem niusów i lajfów, relacjonujących co do kropki a to różne alternatywne stanowiska „obrońców krzyża” (w tym zwłaszcza najbardziej obcesowe komentarze do oświadczeń biskupów<sup>101</sup>), a to bluźniercze wystąpienia antyklerykałów.

Nie można nie dostrzec, że w akcji Kościoła hierarchicznego zaistniał pewien rozstrój. W mniejszym stopniu chodzi tu o wyraźną różnicę zdań w sprawie zaangażowania Kościoła w stawianie pomnika smoleńskiego między abp. Sławojem Leszkiem Głodziem<sup>102</sup> i bp. Tadeuszem Pieronkiem<sup>103</sup> – a w o wiele większym o brak koordynacji między oficjalnymi oświadczeniami kościelnymi, wyraźną nauką ordynariusza miejsca, konkretnym pomysłem dotyczącym nowej lokalizacji krzyża – oraz formą jego kościelnego przeniesienia. Chociaż wszystkie te elementy

wystąpiły, zabrakło ich koncentracji, odpowiedniego czasowego powiązania.

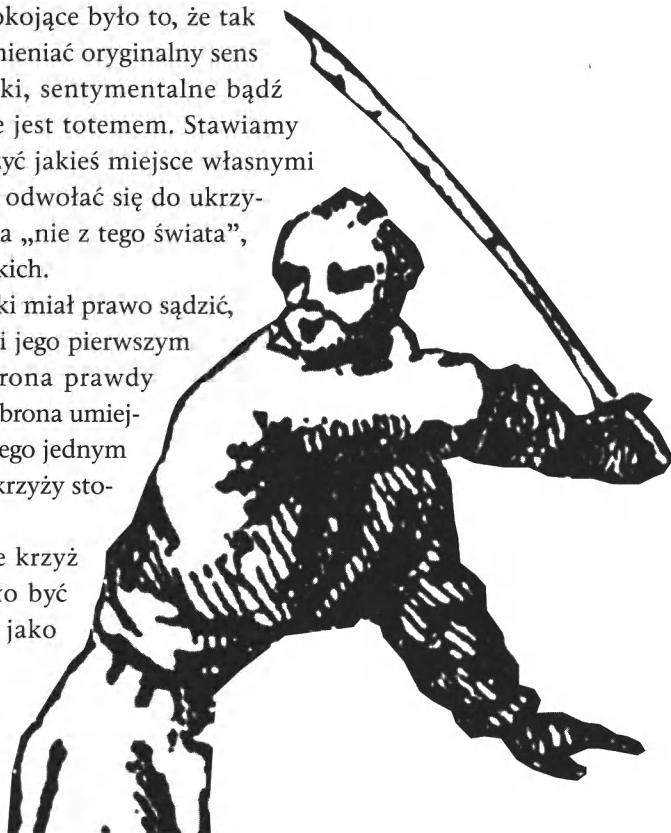
Coś bardzo złego stało się przede wszystkim 3 sierpnia: niedoszła procesja z przeniesieniem krzyża zamieniła się w pokaz bezsilności Kościoła, reprezentowanego przez wysłanych kapłanów – ale była także bardzo smutnym pokazem Kościoła nie mającego nic do powiedzenia. Wiadomo, że wobec wzburzonych namiętności ewentualne pojawienie się tam osobiście Arcybiskupa Warszawskiego byłoby i nieestosowne, i nadmiernie ryzykowne. Czy jednak nie było możliwe poprzedzenie planowanej procesji jakimś wygłoszonym przezeń oficjalnie – choćby w formie homilii w Św. Annie – objaśnieniem sytuacji z mocną katechezą o krzyżu?

Chociaż w pozostawieniu krzyża przed Pałacem naprawdę trudno zauważyć coś naruszającego zasady zdrowego pokoju społecznego w Polsce, jednak konkretny przebieg sporu – z zaangażowaniem prezydenta i z dwuznacznymi traktowaniem krzyża jako „substytutu” – dawał podstawy do tego, by Kościół musiał uznać za priorytet wyjęcie świętego znaku zbawienia z tej gry.

To, że krzyż znowu pojawił się jakby w miejscu narodowego sztandaru, było naturalnym odruchem katolickim polskości. Niepokojące było to, że tak łatwo można było podmieniać oryginalny sens krzyża na jego podróbki, sentymentalne bądź nihilistyczne. Krzyż nie jest totemem. Stawiamy go nie po to, by oznaczyć jakieś miejsce własnymi ideami – ale po to, aby odwołać się do ukrzyżowanego Arbitra, Króla „nie z tego świata”, który osądzi nas wszystkich.

Arcybiskup Warszawski miał prawo sądzić, że w konkretnej sytuacji jego pierwszym obowiązkiem jest ochrona prawdy o Krzyżu – bardziej niż obrona umieszczenia krzyża, będącego jednym ze szczególnie ważnych krzyży stojących w Warszawie.

Kościelne uznanie, że krzyż należy przenieść, mogło być jednak interpretowane jako



pośrednie przyzwolenie na laickie zdefiniowanie przestrzeni publicznej – dlatego słusznie w swych wypowiedziach biskupi wyraźnie odrzucali taką interpretację. Zabrakło natomiast wyraźnych gestów suwerenności Kościoła: przedstawiając się z początku jako siła niezaangażowana, dał się następnie opisać jako wykonawcę scenariusza podanego w „Wyborczej” przez Komorowskiego. Czegoś wyraźnie zabrakło.

### Zakończenie

Wydarzenia na Krakowskim Przedmieściu – w tym oczywiście przede wszystkim profanacja krzyża w trakcie manifestacji antyklerykalnej – doprowadziły nas najbliżej sytuacji, w której jakiś demon wtargnął do polskiego życia publicznego i pociągnął do tańca korowody rozmaitych ludzi. Jednak jego złośliwą grą było czuć już wcześniej – wszędzie tam, gdzie deptano szacunek dla zmarłych, godność żałoby, przebudzenie do bycia narodem. Ale i wszędzie tam, gdzie usiłowano podporządkować rzeczy święte spin-polityce lub dla wywyższenia swego kandydata, z lęku przed Rosją, nadużywano imienia Bożego.

Głęboką rację miał Wojciech Wencel, gdy w swych gorących felietonach upominał się co jakiś czas o traktowanie całej sekwencji wydarzeń po 10 Kwietnia jako ponownego wyraźnego wkroczenia Bożego w naszą historię. Jednak i on popełniał błąd zawężenia tej metafizyki do kilku podnoszących na duchu wnioskowań lub odezów wyborczych. W tamtym czasie chyba zresztą nikt nie miał śmiałości myśli i odwagi głosu, aby powiedzieć rzecz zdawałoby się oczywistą dla każdego kto chciałby nasze życie narodowe czytać podobnie do Biblii: że kolejne katastrofy i niepowodzenia bywają dopuszczane przez Boga nie jako po prostu znak wybrania, lecz często jako kary dla zbyt zuchwałych wybranych, gdy grzesząc powiadają sobie „Abrahama mamy za ojca”. Do Izraela Boże karanie przychodziło, gdy zbaczał z drogi i odrzucał szanse.

Teologia dziejów pomijająca ten wątek byłaby, mimo nagromadzenia symboli grozy katastrofy, cukierkowym *ersatzem* prawdy o Bogu. Co więcej, oparte na niej proroctwo, tak gwałtowne w tępieniu naturalistycznego deizmu<sup>104</sup>, mogłoby się okazać bezbronne wobec uroszczeń bożków: Chwili, Zmagania i Wyzwania.

<sup>104</sup> Por. W. Wencel, *Bal u Senatora*, wojciechwencel.blogspot.com, 20.08.2010.



A nie wiadomo, czy prorok zwiedziony przez nich nie zapłaciłby gorzko za swe uniesienia: idole to nie cienie Boga, lecz demony.

Doświadczenie ostatnich miesięcy opowiadało nam wielokrotnie prawdę, że demony wchodzi z łatwością wszędzie tam, gdzie zamiast życia prawdziwego tworzy się życie zastępcze – gdzie zamiast życia jest gra, choćby i o intensywnym, romantycznym napięciu.

Oglądana oczyma wiary, Katastrofa przyszła po to, żebyśmy w naszym życiu narodowym wyrwali się z zaklętego kręgu „gry zamiast życia”. Trzy kolejne akty dramatu smoleńskiego – żałoba, wybory i sprawa krzyża – pokazują jednak, że w polskiej sferze publicznej gry jest nadal więcej niż życia.

*Miasto tak ludne, jakóż jest samotne! Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana, Boga twojego... ■*

